Jerzy Madzelan

OPOWIEŚCI BROKOWSKIE

LECZNICTWO NAD BUGIEM W XIX ORAZ POCZĄTKACH XX WIEKU

W nieco zmienionej formie, pod tytułem *Opieka lekarska i „medycyna ludowa" w wieku XIX i na początku XX*, artykuł został opublikowany w pracy zbiorowej *Z historii życia codziennego i kultury ziemi ostrowskiej*, pod red. Jadwigi Sadowskiej, Ostrów : Miejska Biblioteka Publiczna im. Marii Dąbrowskiej w Ostrowi Mazowieckiej, 2024, s. 63-80.

Niegdyś, ale nie tak znowu dawno, warunkiem udanego małżeństwa były osławione morgi, co biorąc pod uwagę ciężkie warunki życia i powtarzające się klęski głodu specjalnie dziwić nie może. Małżeństwo nie było zatem „związkiem serc", lecz biznesowym kontraktem i powiadano, że zanim młodzi zawrą ślub w kościele, to wpierw łączy ich rejent. To samo dotyczyło najbiedniejszych wyrobników, komorników, bo choćby nie udało się zyskać kawałka gruntu, to przecież łatwiej było przetrwać, jeśli pan młody miał dobry fach w ręku, a panna wniosła do wspólnego gospodarstwa przynajmniej kilka garnków i pierzynę, jeśli zaś i tego nie miała, to żeby była zdrowa i robotna. Nie inaczej było w przypadku rolników i rzemieślników z miasteczek.

Jasne zatem, że i w rodzinie, choć dbano o siebie, to czyniono to najczęściej bez iluzji i z wyrachowaniem. Mąż otaczał opieką żonę, bo przyrządzała strawę, troszczyła się o dom, pomagała w gospodarce, a z dzieciakami, to chłop bez baby byłby zupełnie bezradny, nawet jeśli stosunki z małoletnim potomstwem „najczęściej krótko i węzłowato reguluje się batem"[1]. Widząc więc, że połowica ledwo dycha, małżonek rozpaczał – Co ja zrobię z sierotami, taka to była przecie uczciwa i robotna kobieta – Żona zaś martwiła się o zdrowie męża, bo to głównie na nim opierała się gospodarka.

[1] Dominik Staszewski, *Moralność i umoralnienie Kurpiów*, Płock 1903, s. 18.

Znacznie mniej dbano o starych rodziców, zwłaszcza od momentu, gdy przepisali gospodarkę na młodych. Wprawdzie istniał zwyczaj dożywocia, a często zapisywano je w formie kontraktu, ale w razie, gdyby młodzi nie dopełnili warunków, to kto by ich tam ciągał po sądach? Dobrze jeszcze, jeśli starzyki mieli sił na tyle, by pomóc w gospodarce, a przynajmniej piastować dzieci. Jak już i do tego nie byli zdatni, to dbano o nich o tyle, żeby ludziska nie gadali, a ksiądz nie wspomniał o gospodarzach w kościele jako o wyrodnych dzieciach. Trzeba jednak przyznać, że jakiś tam wewnętrzny kodeks moralny włościanie mieli i złego nie czynili nie tylko ze strachu przed sąsiadami i proboszczem. Chłop zapytany, czemu czynienia tego lub owego się wystrzega, podrapałby się po głowie i rzekł – A bo grzych!

Okazuje się jednak, że umierającemu rodzicowi można było pomóc w przejściu do lepszego świata, w sposób na pozór litościwy. W liście do gazety pewien oburzony obywatel tak opisał zdarzenie, do którego doszło w Nurze:

> W domu, gdzie się mieści urząd gminny, zajmuje dwie izby mieszczanin, u którego pracuje chłopak 20-letni. Do tego chłopaka przybyła matka staruszka i ciężko zachorowała. Po udzieleniu świętych Sakramentów, utraciła nieboga przytomność, – zdaje się nawet, że to już było konanie, a trwało trzy dni. Za długo było czekać na śmierć matki synowi i domownikom; kładą umierającą na lichą furmankę i wiozą o dwie mile[2] do szpitala w Sterdyni. Rzecz prosta: w godzinę potem umarła. Czy to nie zgroza, nie hańba, – że syn postąpił tak z matką[3].

Pamiętać jednak należy, że zwyczaj usuwania starców w ciemny kąt, gdzie spędzali końcówkę życia o łasce i niełasce najbliższych, był niezwykle miłosierny w porównaniu z obyczajami panującymi w czasach przedchrześcijańskich. Obyczaje te były nawet znacznie okrutniejsze od wyrzucenia starych rodziców z chałupy na żebry, co na Kujawach czy w ziemi dobrzyńskiej było ponoć powszechnie przyjęte[4]. Jeszcze do niedawna krążyły pośród ludu budzące grozę opowieści, iż w czasach zamierzchłych „starych ludzi, gdy już robić nie mogli, żywcem zakopywano w ziemi”[5]. Z kolei pod Tarnowem opowiadano, że synowie starych rodziców dusili – podobnie czyniono z kalekami, nieuleczalnie chorymi i przeróżnymi „niemotami”. O zwyczaju tym przypomniano sobie ponoć podczas wielkiego galicyjskiego głodu z lat czterdziestych XIX w. Gdzie indziej starano się nie kalać własnych rąk zabójstwem rodziców, więc wywożono ich do lasów wilkom na pożarcie. Na Litwie, do pozbycia się balastu w postaci staruszków, jeszcze nie tak dawno stosowano oparty na arszeniku specyfik zwany *Altsitzerpulver*[6].

Ze śmiercią każdy był oswojony, jako że stykano się z nią na co dzień. Choćby dzieci kostucha wtrącała do grobów tyle, że gdyby rozpaczać nad każdym maleństwem, zgodnie z obecnie przyjętymi wzorcami, to ludzi ogarnęłoby zbiorowe szaleństwo. Szybko godzono się więc z nieuchronnym i mówiono: „Bóg dał, Bóg wziął”. W pełnym niebezpieczeństw świecie wszędzie widziano zwiastuny nadchodzącego nieszczęścia: „W paru wioskach pobliskich

[2] 1 mila nowopolska to ponad 8,5 kilometra [przyp. aut. art.].
[3] „Gazeta Świąteczna”, nr 48 (152) z 1 niedzieli grudnia 1883 r.
[4] Henryk Biegeleisen, *Lecznictwo ludu polskiego*, Kraków 1929, s. 371-372.
[5] Tamże, s. 372.
[6] Tamże, s. 376.

Nura, dzieci chorują na dyfteryt i zaburzenia żołądkowe, a ponieważ na krzewach bzu pojawiły się i kwiaty [w październiku], zaraz lud miejscowy wywnioskował, że to niedobry znak i dzieci małe będą umierały. Życzeniem [jest] gorącem, rodziców mających dziatwę, żeby te przepowiednie nie ziściły się”[7]. Pogodzenie się z losem najlepiej oddaje postępowanie z kalekami, jako że „kalek od urodzenia nie godzi się ratować operacjami (acz w chorobie przypadkowej leczyć ich wolno), gdyż to kalectwo jest jakąś pokutą, którą z Bożego dopuszczenia ponosić muszą. Kto by też ich zratował, musiałby tę ich karę sam przyjąć na siebie”[8].

DOKTORZY

Życie było zresztą tak ciężkie, że tam w zaświatach mogło być tylko lepiej niż na ziemi, oczywiście, pod warunkiem dobrego prowadzenia się na tym łez padole. Przerażenie budziła śmierć nagła, niepozwalająca na załatwienie wszystkich spraw ziemskich, na spowiedź i przyjęcie sakramentów. Nie przypadkiem za jedno z jedno gorszych przekleństw uchodziło wyklinanie: „Bodaj cię szlag trafił!”. Zmorą gorszą od śmierci i niedającą spać, było widmo długiej i ciężkiej choroby, takiej, która zmorzy człowieka, uczyni go ciężarem dla innych, doprowadzi gospodarkę do ruiny, a rodzinę pogrąży w nędzy. Lekceważono i ze stoickim spokojem znoszono wszelkie, choćby i dotkliwe cierpienia, zwłaszcza w ich początkowej fazie. Dopiero gdy choróbsko zwalało człowieka z nóg, to szukano pomocy, choć z rzadka u lekarza legitymującego się uniwersyteckim dyplomem. Mało, że było ich niewielu, to porozumieć się z odzianymi w surduty jegomościami nie było łatwo, bo nie „gadali po tutejszemu”, zalecali jakieś drogie, wymyślne medykamenty, do znudzenia powtarzali złowróżbne słowo higiena i na każdym kroku okazywali swoją wyższość: „Proszę spojrzeć na chłopka stojącego w małem miasteczku, przybyłego na konsultację. Poważny wyznawca Eskulapa traktuje go z góry, każe stać w przedpokoju, rozmawia szorstko, słowem – imponuje, jak gdyby umyślnie chcąc swoją wyższość okazać. Rzecz prosta, że podobne postępowanie nic innego wyrodzić nie może, jak stosunek anormalny. Chłopek woli się udać do pierwszego lepszego owczarza lub balwierza, który z nim wcale inaczej postępuje”[9].

A choćby i doktor pacjentowi w pas się kłaniał, to każdy rozsądny człowiek wiedział, że z większością choróbsk taki uczony medyk nijak sobie nie poradzi, bo tak naprawdę to człowieka leczy Pan Bóg, a doktor bierze tylko słoną opłatę. Lekarz był więc ostatecznością, po którą sięgano, gdy wszystkie inne środki zawiodły oraz gdy przyszło dokonać urzędowej obdukcji śladów pozostałych na ciele po bijatyce. A że po miesiącach ludowego leczenia, wiele już doktorzy zdziałać nie mogli, to lud umacniał się w przeświadczeniu, że ufać im nie można. Ociąganie się z zapłatą było czymś normalnym, gdyż panowało przekonanie, że „lekarza okpić to nie grzech, bo to człowiek, któremu pieniądze płyną drzwiami i oknami”. Gdy któryś się upomniał o zaległe pieniądze, to opinia publiczna chlastała go „jak ostatniego łotra”, dodając umoralniające „kazanko o obowiązkach bliźniego”[10]. W dodatku lekarz był na z góry

[7] „Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 58 z 19 października 1898 r.
[8] Oskar Kolberg, *Dzieła wszystkie*, Warszawa 1964, t. 34, s. 202.
[9] „Korespondent Płocki”, nr 28 z 8 kwietnia 1887 r.
[10] Tamże, nr 35 z 4 maja 1888 r.

przegranej pozycji, bo wszelkie pogorszenie zdrowia pacjenta przypisywano właśnie jemu, na konto zaś znachora szła wszelka poprawa.

Ogólnie korzyść z doktorów była niewielka, bo większość dolegliwości pochodziła przecież z czarowania, zadania, zamówienia, podłożenia, rzucenia złego spojrzenia i wielu innych niecnych praktyk, czynionych przez nienawistnych ludzi, którym przypisywano moc szkodzenia. Nauka była rzecz jasna całkowicie bezradna także w stosunku do chorób stanowiących dopust Boży. We wszystkich tych przypadkach miastowy doktor pomóc mógł tyle, co umarłemu kadzidło, bo jak mówi przysłowie: „Nie pomogą doktory, jak kto na śmierć chory". Jasne więc, że w takich przypadkach lepiej było zawierzyć osobom obdarzonym mocą dokonywania cudów – „dochtórom-carownikom" czy „mądrym babkom". A czymże takim doktor był obdarzony? Tylko kolorowym papierkiem z jakiejś szkoły!

Ilustracja 1. Doktor i jego mały pacjent, ilustracja z książki medycznej wydanej w 1906 r.
Źródło: *Solis-Cohen, Myer, No restrictions, via Wikimedia Commons*.

Do „carowników" udawano się także z konieczności, gdyż w latach 80. XIX w. w całym Królestwie Polskim było 677 lekarzy legitymujących się uniwersyteckim dyplomem, a aż 261 z nich mieszkało w Warszawie[11]. Na początku następnego stulecia było już w Królestwie 1767 lekarzy, ale w Warszawie praktykowało 850, w Łodzi zaś 140, co oznacza, że w pozostałej części Królestwa jeden lekarz przypadał na 10.170 mieszkańców. W guberni Łomżyńskiej było 46 doktorów legitymujących się wykształceniem uniwersyteckim [12]. Nawet gdyby każdy z nich był pracującym 24 godziny na dobę Judymem, to i tak nie byłby w stanie nieść pomoc wszystkim potrzebującym. Nie było łatwo skusić doktora, aby podjął się praktyki na prowincji. Owszem, w mieście powiatowym, a tym bardziej gubernialnym było o doktora znacznie

[11] Bożena Urbanek, *Lekarze a inne zawody medyczne na przełomie XIX i XX w*., „Medycyna Nowożytna" 2000, T. 7, z. 1, s. 68.
[12] „Echa Płockie i Łomżyńskie", nr 20 z 8 marca 1902 r.

łatwiej, bo lekarz mógł tam liczyć na klientelę w postaci urzędników (w większości niestety biednych), kupców (czasami dość zasobnych), właścicieli wielu nieruchomości (bywało, że zamożnych), a nie bez znaczenia był fakt, że istniało tam życie towarzyskie. Wieczorami było z kim zagrać w wista, kulturalnie pogawędzić przy nalewce, winku lub koniaku, obejrzeć spektakl amatorskiej trupy teatralnej itp. Od połowy XIX w. zawsze był w Ostrowi przynajmniej jeden lekarz, a z czasem ich liczba wzrastała. W roku 1873 w jednej z gazet donoszono o niezwykłym poświęceniu, którym w walce z ospą odznaczył się ostrowski lekarz Adolf Kuncewicz[13]. W dokumentach z roku 1894 wymieniono już dwóch wolno praktykujących ostrowskich lekarzy – Jakuba Tywołowicza i Ksawerego Taczanowskiego, natomiast tuż przed wybuchem I wojny światowej było ich pięciu[14].

Młodzi lekarze dość chętnie przyjmowali oferty praktykowania w mniejszych miejscowościach, ale położonych wzdłuż linii kolejowych, zwłaszcza tam, gdzie mieli zapewnione stałe, rządowe pobory za opiekę medyczną nad kolejarzami. W tak dobrze skomunikowanych miejscach łatwiej było poszerzać swą wiedzę, jeździć do stolicy na odczyty i spotkania, sprowadzać podręczniki, czasopisma, niezbędne instrumenty i leki. Skuszenie zaś doktora, by podjął pracę w „głuszy" było, prawie że niemożliwe. Oferty o czekających na lekarzy miejscach pracy zamieszczano naturalnie w gazetach warszawskich: „Proszono nas o podanie do wiadomości, że w Długosiodle (pow. ostrowski) potrzebny jest lekarz (może być kobieta-lekarz). Okolica bardzo ludna, w promieniu 22 wiorst nie ma lekarza. W Długosiodle zamierzona jest budowa szpitala na 6 łóżek; istnieje subsydium. Dalszych informacji udziela aptekarz miejscowy"[15].

Zwraca uwagę dopisek, iż lekarzem w Długosiodle może zostać kobieta. Nie wiadomo, czy świadczy to o postępowości, czy o desperacji władz gminnych, bo przecież pani doktor, była wielkim novum, do którego podchodzono z wyjątkową nieufnością. Należy pogratulować odwagi włodarzom prowincjonalnej gminy, skoro wybitny chirurg Ludwik Rydygier, artykuł, w którym pomstował na kobiety ośmielające się marzyć o karierze lekarskiej, kończył hasłem: „Precz więc z Polski z dziwolągiem kobiety-lekarza!"[16].

Obietnica dotycząca budowy maleńkiego szpitala wydaje się nie do końca rzetelna, bo biorąc pod uwagę, jak długo zwlekano z otwarciem maleńkiego szpitala w powiatowej Ostrowi, to trudno oczekiwać, aby doszło do tego w osadzie Długosiodło. W anonsach tyczących poszukiwania lekarzy powtarza się słowo „subsydium", które zwykle oznaczało, że doktor może liczyć na pewne i to zwykle niemałe dochody niezależne od liczby pacjentów, a to umożliwiało świadczenie pomocy także osobom ubogim, a takie stanowiły niestety większość społeczności. Odzew na annos z Długosiodła był najwidoczniej żaden, gdyż oferta była powtarzana, choć w nieco innej formie także w miesiącach następnych. Cóż zresztą pisać o Długosiodle, skoro problemy ze znalezieniem miejskiego medyka miał nawet, nie tak znowu mały Pułtusk i to pomimo uchwalenia subsydium w wysokości 300 rubli rocznie[17]. Była to

[13] „Gazeta Handlowa", nr 257 z 15 listopada 1873 r.
[14] *Ostrów (Mazowiecka) w łomżyńskich dokumentach gubernialnych*, na portalu *wirtualna.lomza.pl,* s. 33.
[15] „Kurjer Warszawski", nr 31 z 31 stycznia 1911 r.
[16] Ludwik Rydygier, *O dopuszczeniu kobiet do studiów lekarskich*, Kraków 1895, s. 9.
[17] „Echa Płockie i Łomżyńskie", nr 18 z 4 marca 1899 r.

powszechna bolączka, a osoba aktywna na łamach gazet i podpisująca się pseudonimem „Służka", donosiła w 1898 r. z Nura: „Lud okoliczny biedny, choćby i rad szczerze, nie każdy jest w stanie udawać się o pomoc do lekarzy najbliżej mieszkających, o 14 wiorst w Czyżewie i prawie tyleż w Zarębach; jakby to dobrze było, gdyby choć na dwie gminy jeden doktór był płatny, mielibyśmy więcej zapewnioną poradę lekarską, a co najważniejsze różne zamawiania i na ślepo leczenie, ustałoby z czasem"[18].

Płatny doktor oznaczał lekarza otrzymującego od zarządu gminy lub miasta wspomniane powyżej subsydium. Brak prawdziwego i dostępnego dla ubogich wykształconego medyka musiał mocno doskwierać mieszkańcom Nura i okolicy, skoro minęło ledwie kilka miesięcy, a „Służka" ponownie wspomniała o tym frasunku w liście do gazety: „Najgorsze tylko, że dla wielu biedaków pomoc lekarska po prostu [jest] niedostępna. Potrzebny nam bardzo lekarz gminny, a przede wszystkiem zrozumienie własnego dobra"[19]. Ludziom nigdy nie można dogodzić, więc tam, gdzie wreszcie doktora się doczekano, narzekano, że to za mało, a korespondent z Zarąb Kościelnych donosił, iż pomoc „lekarska w osobie jednego doktora miejscowego jest niedostateczna, toteż niejeden zdawszy się na łaskę losu, czeka zmiany na lepsze. Więcej lekarzy!"[20].

W tej samej gazecie zamieszczono w grudniu 1898 r. notkę o bezpłatnej pomocy lekarskiej w guberni płockiej. Pomocy udzielano w ośmiu przychodniach, nazywanych także ambulatoriami. Wydaje się, że była to opieka w porównaniu z „płatną" znacznie rozszerzona:

> Otwarcie lecznic i uroczyste rozpoczęcie przyjmowania chorych […] lekarze będą przyjmowali chorych przychodnich od godz. 10-tej rano do wieczora. Chory, po obejrzeniu go przez lekarza, otrzyma lekarstwo, a również na miejscu odbywać się będą operacje chirurgiczne. Chory składać będzie na ręce lekarza 10 kop. Opłata ta, przelana do izby skarbowej, zasili fundusze rady gubernialnej dobroczynności publicznej. Od opłaty 10-kopiejkowej mogą być uwolnieni tylko ci, których ubóstwo będzie stwierdzone dostatecznie. Chorzy przyjęci przez lekarza do lecznic wraz z całkowitem utrzymaniem bez żadnej zapłaty[21].

Lekarze pracujący w tych ambulatoriach pobierali „900 rb. pensji oraz 3 rb. od wyjazdu każdego. Praktyka prywatna lekarzom tym jest wzbroniona"[22]. Wydaje się, że owe 3 ruble, nie dotyczyły wyjazdów na wizyty domowe, ale był to rodzaj zryczałtowanej delegacji za dojazd do ambulatorium z miejsca stałego zamieszkania lekarza. Działające prawdopodobnie na podobnych zasadach ambulatorium udało się otworzyć w Ostrowi dopiero dwanaście lat później: „W dniu 12 marca r. b. na zebraniu ogólnym członków miejscowego Towarzystwa Dobroczynności, uchwalono otworzyć przy T-wie ambulatorium, wzorowane na podobnym w Sokołach. Dom na pomieszczenie ambulatorium jest już odpowiednio wyrestaurowany i natychmiast po otrzymaniu pozwolenia władzy, nastąpi otwarcie pożytecznej instytucji"[23].

[18] Tamże, nr 58 z 19 października 1898 r.
[19] Tamże, nr 77 z 24 grudnia 1898 r.
[20] Tamże, nr 26 z 26 marca 1902 r.
[21] Tamże, nr 77 z 24 grudnia 1898 r.
[22] Tamże, nr 74 z 14 grudnia 1898 r.
[23] „Wspólna Praca", nr 1 z 3 kwietnia 1910 r.

Nie oznacza to, że dopiero w momencie otworzenia powyższej placówki mieszkańcy powiatu uzyskali pomoc szpitalną. W sytuacjach nadzwyczajnych chorych przyjmowano do lazaretów wojskowych. Tak na przykład w początkach wieku XIX urząd posiadający swą siedzibę w Broku, a administrujący przejętymi przez skarb pruski biskupimi dobrami, skierował na leczenie do lazaretu wojskowego w Ostrołęce Henryka Kranka z wioski Sumiężne i Teresę Hieronimek[24]. Z kolei do lazaretu w koszarach carskiej armii w Komorowie pod Ostrowią przewieziono w 1887 r. bliskiego śmierci, konwertytę Franciszka Płatkowskiego, który w lesie koło wioski Laskowizna pod Brokiem padł ofiarą zemsty swej starozakonnej rodziny[25].

Ilustracja 2. Ilja Efimowicz, *Chirurg E. W. Pawłow podczas operacji*, olej na płótnie, 1888. Dr Pawłow był głównym chirurgiem szpitala akademickiego w Petersburgu.
Źródło: *Ilya Repin, Public domain, via Wikimedia Commons*

DENTYŚCI

Utrzymywanie w czystości jamy ustnej i zębów większość mieszkańców polskich wiosek i miast uważała za zbyteczne, pozostawiając to dziwactwo bogaczom, którym czas na to pozwalał. Dentysta zaś był zjawiskiem jeszcze rzadszym od lekarza. Jeśli ból nie przechodził pomimo stosowania płukanek z przeróżnych ziół i octu, to pozostawało ząb wyrwać, a tym parał się zwykle kowal: „Przywiązuje ząb mocnym szpagatem do kowadła, potem, zabawiając chorego dykteryjkami, sunie mu nagle improwizowany dentysta pod nos rozpalonem żelazem z iskrzącemi żużlami!... Przy wyrywaniu zębów posługują się także zwykłemi obcęgami, przy czem nie obejdzie się bez znacznego obrażenia szczęki lub bez wyrwania kilku zębów”[26].

[24] Akta die Kurierung der Kranken im Amt Brok betreffend, k. 7-9, jedn. 1065, zesp. 1/170/0, AGAD.
[25] Więcej o tych wydarzeniach TUTAJ.
[26] Marian Udziela, *Medycyna i przesądy lecznicze ludu polskiego. Przyczynek do etnografii polskiej*, Warszawa 1891, s. 150-151.

Na początku wieku XX pojawili się w Ostrowi technicy dentyści Dawid Bieleński i Szymon Chrystowski, w dokumentach zaś z roku 1914 figurują dwie dyplomowane lekarki dentystki – Chaja Górowicz oraz urodzona w Piotrkowie Zofia Grendyszyńska[27]. Kogo jednak było stać na dentystę i komu by się chciało jeździć, czy raczej chodzić tak daleko? Ogromna większość mieszkańców nadal „leczyła" zęby tak, jak to robili ich dziadowie, radząc sobie nawet bez kowala – „jeżeli kogoś ząb zaboli i nie może wytrzymać, a ząb nie da się zatruć esencją octową, to mu sąsiad lub ktoś z rodziny stara się go wyrwać obcęgami"[28].

Ilustracja 3. Wiejski dentysta-kowal.
Źródło: Wellcome Collection, *wellcomecollection.org*.

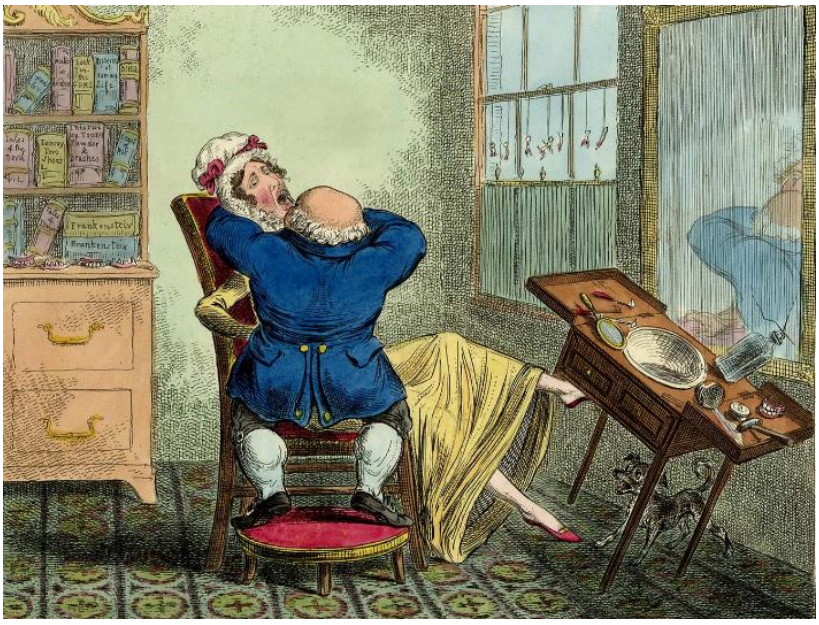

Ilustracja 4. *Dentysta miejski*, akwarela, 1821.
Źródło: The British Museum, number 1859,0316.155*, britishmuseum.org*.

[27] *Ostrów (Mazowiecka) w łomżyńskich dokumentach…*, s. 33
[28] Pamiętniki chłopów 1933 : wybór, Warszawa 1955, s. 16, [za:] Jadwiga Sadowska, *Mieszkańcy Kaczkowa Starego i Nowego w parafii Brok*, Warszawa 2016, s. 64.

APTEKARZE

Skoro niewielu było lekarzy i nie cieszyli się nadzwyczajnym wzięciem, to trudno, aby liczne były apteki, bo i po co, skoro na każdy rodzaj choroby dał Pan Bóg naturalne lekarstwa. Jeszcze w latach osiemdziesiątych XIX w. w całym ówczesnym powiecie ostrowskim apteki działały tylko w Ostrowi i Czyżewie. Na początku wieku XX posiadaniem apteki cieszyły się poza tymi dwoma miejscowościami jeszcze: Andrzejewo, Brok, Długosiodło, Małkinia, Nur i Zaręby Kościelne, w całej zaś guberni łomżyńskiej było ich 31[29]. Urodzony w Radomiu, brokowski aptekarz Karol Ezechiel Józef Sikorski zmarł w Warszawie w grudniu 1906 r.[30], a już dwa miesiące później wdowa Józefa Władysława wyszła za mąż za Józefa Karola Gołębiowskiego[31]. Powodem pośpiechu były zapewne jakieś wymagania formalne dotyczące prowadzenia aptek przez osoby posiadające uprawnienia farmaceutyczne. Już w roku następnym otworzył pan Józef pierwszą aptekę w Sadownem[32] – niewykluczone zatem, że była pierwsza w regionie sieć aptek.

Ze względu na nieufność ludzi do oficjalnie sprzedawanych mikstur, maści i pigułek, prowadzenie apteki nie należało do zajęć wyjątkowo dochodowych, dlatego farmaceuci wspomagali się różnymi ubocznymi aktywnościami. Wszędzie sprzedawali np. wodę gazowaną z sokiem. To nie kościół czy całkiem jeszcze wtedy okazałe ruiny brokowskiego pałacu, ale ten serwowany w brokowskiej aptece Karola Sikorskiego napój był dla Mieczysława Harusewicza (syna ostrowskiego lekarza Jana i Amelii) największą atrakcją miasteczka. Często aptekarze próbowali ratować zdrowie klientów przychodzących z receptami wypisanymi przez samozwańczych medyków, a zawierającymi zagrażające życiu brednie:

> Śmiech zbierał, kiedy się najniemożliwsze absurda czytało w postaci owych recept. Za nic wszelkie tłomaczenia, chłop z receptą szedł do apteki, a lekarstwo, które przynosił, choremu pomagało. Starałem się tę tajemnicę odkryć w aptece, co mi się też udało. Ktoś z podobną receptą przychodzi żądając lekarstwa. Aptekarz kartkę odbiera, lecz niby od niechcenia i z ciekawości wypytuje się o objawy danej choroby, wreszcie daje lekarstwo pouczając, w jaki sposób ma być użyte. I w tem cała tajemnica. Aptekarz nie stosuje się bowiem do recepty przyniesionej, z której niejednokrotnie nic wyczytać nie można, lecz, jeśli nie może sobie wyrobić pojęcia o chorobie, daje lekarstwo nieszkodliwe, a przeciwnym razie stosowne, oczywiście starając się, by nie zbudzić podejrzenia[33].

Najpopularniejsze medykamenty można było nabyć także w zwykłych sklepikach, na jarmarkach, a trudną do zliczenia liczbę „cudownych specyfików" oferowali obwoźni i wędrowni sprzedawcy. Dysponowali oni medykamentami na każdą przypadłość i potrzebę: na niepłodność i na spędzenie płodu; na prędkie wyjście za mąż; na przemienienie pijaka w

[29] „Echa Płockie i Łomżyńskie", nr 20 z 8 marca 1902 r.
[30] Akta stanu cywilnego Warszawa-Leszno, parafia Narodzenia NMP, akt zgonu 906/1906, AP w Warszawie, [za:] *geneteka.genealodzy.pl.*
[31] Akta stanu cywilnego parafii rzymskokatolickiej w Broku 1826-1913, akt ślubu 24/1907, sygn. 79/86/0, AP w Warszawie O. w Pułtusku.
[32] Andrzej Firewicz, *Sadowne i okolice wczoraj i dziś*, Warszawa 2004, s. 54.
[33] Wincenty Badura, *Wiejscy lekarze*, „Lud" 1903, T. 9, s. 296-297.

abstynenta. Tej ostatniej przemiany dokonywano dzięki sproszkowanym paznokciom nieboszczyka, które wystarczyło zmieszać z gorzałką i dać ochlaptusowi do wypicia.

Panowało przekonanie, że na każdą wewnętrzną chorobę potrzebne są dwa specyfiki. Pierwszy, brany do wewnątrz im był wstrętniejszy, tym lepszy, bo jego zadaniem było zohydzić choróbsku dalszy pobyt w człowieku, ten zaś stosowany zewnętrznie miał wyciągnąć chorobę na zewnątrz i były to przeróżne: maści i smarowidła, bańki, pijawki, okłady, kąpiele. Popularność zyskiwały powoli także leki fabryczne. Poczęto je nawet podrabiać na masową skalę. W prasie ukazywały się więc ostrzeżenia podobne do tego tyczącego leku, którego recepturę opracował w Płocku Adolf Gąsecki. Lek ten zwany popularnie „proszkami z kogutkiem" znany był praktycznie wszystkim naszym prababkom i pradziadkom, a nawet zyskał międzynarodową renomę:

> Niniejszem zawiadamiam osoby zainteresowane, że znane proszki od bólu głowy i migreny, pod nazwą „Migreno-Nervosin" aptekarza A. Gąseckiego w Płocku znajdują się już w handlu aptecznym podrabiane. W celu więc uniknięcia bezwartościowych falsyfikatów należy przy kupnie zwracać baczną uwagę na podpis wynalazcy A. Gąseckiego na każdym proszku i żądać proszków wyrabianych w Płocku[34].

Ilustracja 5. Zrekonstruowane wnętrze apteki w skansenie Galicyjski Rynek w Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku, fot. Krzysztof Zajączkowski. Meble, pojemniki na leki, instrumenty pochodzą z apteki w Dynowie, która nosiła nazwę „Pod Opatrznością".
Źródło: *Galicyjski Rynek w skansenie w Sanoku*, na portalu *podkarpackie.eu*.

[34] „Kurjer Warszawski", nr 182 z 4 lipca 1911 r.

FELCZERZY

Z braku lekarzy, błogosławieństwem dla mieszkańców wiosek i miasteczek byli felczerzy. W latach osiemdziesiątych XIX w. było w Królestwie Polskim ok. 4 tys. felczerów z tego w stolicy mniej niż 200. Podstawową kuźnią tych kadr medycznych była, a przynajmniej być powinna, utworzona jeszcze w pierwszej połowie XIX w. cywilna Warszawska Szkoła Felczerów. Po wydaniu w roku 1864 ukazu uwłaszczeniowego uznano za konieczne wzmocnienie opieki medycznej i powołano gubernialne szkoły felczerskie, liberalizując przy tym warunki przyjęcia i ograniczając je do wykazania się umiejętnością czytania, pisania oraz znajomości ważniejszych modlitw[35]. Programu samej szkoły felczerskiej już jednak nie zliberalizowano, był nadal obszerny, a dodatkowo wymagano odbycia praktyki szpitalnej. Była także możliwość zdania egzaminu eksternistycznego, który nie był formalnością, ale rzetelnym sprawdzeniem wiedzy i umiejętności stawającej przed komisją osoby.

Znaczna część felczerów rzeczywistych i mniemanych rekrutowała się spośród żołnierzy, którzy służyli w roli lazaretowych łapiduchów i zdobywali wiedzę pod okiem wojskowego medyka. Często taki łapiduch nastawił podczas swej służby tyle kości żołnierskich i tyle wrzodów poprzecinał, że jak pisał pewien dziennikarz „niech sobie wobec niego głowy prochem posypią dyplomowani”[36] lekarze. Zwano ich felczerami wojskowymi, a prawo nie pozwalało im na „rękoczyny samodzielne”, ale tylko pod okiem lekarza[37].

Felczerzy byli uprawnieni do wykonywania prostszych zabiegów chirurgicznych, udzielania podstawowej opieki medycznej i wystawiania recept na standardowe leki. Do najbardziej powszechnych zabiegów należało upuszczanie krwi i wyrywanie zębów. Dopiero przed wybuchem I wojny światowej wydano przepisy szczegółowo określające kompetencje felczera i lekarza. Wcześniej granica była płynna, co prowadziło do niekończących się konfliktów i pomówień. Nic zatem dziwnego, że wielu lekarzy widziało w felczerach nieuczciwą konkurencję i wraz ze znachorami oraz babkami-dochtórkami wrzucało ich do worka z napisem – szarlatani. Reszta, wobec znikomej liczby lekarzy uznawała ich po prostu za zło konieczne. Do krytyki stanu felczerskiego przyłączył się także Bolesław Prus, który w roku 1888 pisał: „Niedawno jeden z młodszych lekarzy utyskiwał w naszym piśmie [„Kurier Codzienny”] nad niedolą medyków mieszkających na prowincji. Tam bowiem wszechwładnym panem zdrowia jest felczer a uniwersalnym lekarstwem upust krwi za pomocą pijawek, banieczków i lancetów. Czy może być silną i zdrową ludność, która […] wytacza z siebie potok krwi?... Jakie z niej wyrosną dzieci?... Czy nie pora byłoby pomyśleć o lekarzach gminnych?”[38].

Z lektury przeróżnych wspomnień wynika, że z racji swego doświadczenia felczerzy byli często bardziej poważani od lekarzy. Świetnie znali lokalne środowisko, dobrze wiedzieli kogo stać lub nie na opłacanie honorarium, byli wreszcie łatwo dostępni o prawie każdej porze dnia i nocy. Jeden z przasnyskich felczerów znany jako Dawid, tak starał się ułatwić dostęp pacjentowi do specjalisty, że w dni jarmarczne przechadzał się po rynku, wiedząc, iż czy to

[35] Bożena Urbanek, dz. cyt., s. 80-81.
[36] Wincenty Badura, dz. cyt., s. 297.
[37] „Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 76 z 26 września 1902 r.
[38] Bolesław Prus, *Kroniki*, t. XI, Warszawa 1961, s. 21, [za:] Bożena Urbanek, dz. cyt., s. 82.

szlachcic, czy wieśniak, to każdy odkładał wszystko, co miał do załatwienia na ten właśnie dzień, obojętnie czy chodziło o wizytę u rejenta, czy u lekarza: „To też skoro zobaczy na wozie babę zapuchniętą, albo blade dziecko zawinięte w pierzynę, zaraz taki felczer zbliża się ze współczuciem, zagarnia chorych pod swoją opiekę i już od siebie nie wypuści bez ciętych baniek (bo te drożej płacą), przyłamanego zęba najczęściej i zoperowanego wrzodu, dodawszy jeszcze jakiej cudownej maści, której on jeden posiada sekret (wazelina), albo mikstury we flaszce (orszada[39])”[40]. Uczonych doktorów najbardziej irytowało, że ów Dawid głośno wyrażał swoją opinię o lekarzach, a szczególnie tych młodych: „Co on może wiedzieć taki młokos, co ma mleko pod nosem, daleko mu do mojego doświadczenia i praktyki […] mój surdut starszy od tego doktora, co ze świata przyjechał, ludzi obdziera i na tamten świat wyprawia swemi niemądremi receptami”[41].

Zła opinia o felczerach była głównie zasługą niedyplomowanych specjalistów, którym wystarczyło spędzić kilka tygodni w roli cierpiącego w koszarowej izbie chorych, aby samowolnie mianować się felczerem. Osobnicy ci mnożyli się w nadzwyczajnym tempie, a z Myszyńca donoszono:

> Nie wiadomo skąd pojawiło się u nas mnóstwo felczerów. Są to Kurpie, którzy, służąc w wojsku, byli niby felczerami i powracali do domów. Mianują oni sami się doktorami, trzymają trucizny i różne lekarstwa, a wszędzie, gdzie mogą, oszukują chłopów, podejmując się leczenia i jeżdżąc nawet do chorych kobiet za akuszerki. Z tego powodu dużo ludzi marnują, oślepiają i okaleczają. W Myszyńcu jest jeden taki, co ciągle chodzi do Prus i stamtąd przynosi różne lekarstwa, a kogo tylko złapie, to okpiwa i obałamuca. W Starym Myszyńcu jest znów drugi felczer, który toczy w butelki po prostu urynę i sprzedaje chłopom za lekarstwo; kogo zaś nie może takim sposobem okpić, to bierze od niego pieniądze niby na lekarstwo do apteki, a potem z niemi ucieka.
> To oszukaństwo felczerów tak się rozmnożyło, że aż księża z ambony musieli tłumaczyć ludziom, że felczer jest tylko posługaczem przy doktorze, a choćby całe życie był felczerem, to doktorem nigdy nie zostanie, tak jak organista, nie będzie księdzem, choć przy kościele żyje. Ów drugi felczer był już w aresztanckich rotach i w więzieniu za złodziejstwo, ale nasi ludzie tu mówią, że taki właśnie najmądrzejszy. Boć głupi zawsze głupstwa gada[42].

Za to mieszkańcy Jasienicy marzyli, żeby zamieszkał tam choćby jeden felczer, a najlepiej, gdyby przy okazji poprowadził sklep chrześcijański. Potrzeby tamtejszych parafian opisał ksiądz podpisujący się inicjałami „K. Z.”:

> Dowiedzieliśmy się z gazet, że pan Kornatowicz obywatel, zakłada sklep we wsi Ruskołękach, parafii Andrzejewskiej. Mimo woli nasuwa się pytanie, dlaczego u nas w Jasienicy nikt nie pomyśli o założeniu sklepiku […] trudność polega na tym, że nie ma w Jasienicy odpowiedniego domu, jednak przy dobrej woli wszystko zrobić można. Otóż trzeba by […] wystawić dom, który trzeba wydzierżawić temu, co zechce zająć się założeniem sklepu. […] W tym domu najlepiej gdyby zamieszkał jaki felczer, który by założył sklep, a stąd podwójna korzyść: za lada bagatelą nie trzeba by było chodzić

[39] Słodki napój, nazywany także mleczkiem migdałowym, sporządzany zazwyczaj z migdałów, cukru i wody różanej lub pomarańczowej [przyp. aut. art.].
[40] „Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 92 z 15 października 1902 r.
[41] Tamże.
[42] „Gazeta Świąteczna”, nr 8 (372) z 19 lutego 1888 r.

> do miasta, odległego o wiorst 10, tracić czasu, płacić drożej i gorszą otrzymać wagę i miarę; a w razie choroby byłaby miejscowa pomoc i spieszny ratunek; tem bardziej że zgłasza się chirurg, człowiek bardzo poczciwy, w celu pomocy chorym i założenia sklepu. […] Wprawdzie każdy prawie z księży pracuje nad medycyną i nieraz poradzi choremu, skoro doktór mieszka daleko, lecz nie każdy ma czas na to, bo w dzisiejszych zwłaszcza czasach z braku duchowieństwa, ogromny nawał pracy ciąży na księdzu, w kościele i poza kościołem[43].

Przez praktycznie cały wiek XIX w Broku praktykowali felczerzy, choć trudno powiedzieć, który spośród nich legitymował się rządowym dyplomem. Raczej nie posiadał takowego zmarły w marcu 1810 r. cyrulik Leybowicz Nachman. Nic nie wiadomo o dokumentach Michała Romanowskiego, służącego brokowiakom pomocą nieco dłużej niż Nachman[44]. Kolejną osobą przywracającą zdrowie mieszkańcom Broku i okolicy był Wacław Doroszewski[45], który urodził się gdzieś pod zaborem austriackim, a do Broku przybył z Wyszkowa. Po śmierci swej drugiej żony ożenił się w 1824 r. z zamieszkałą w Nagoszewie Marianną Szponką. W drugiej połowie XIX w. przybył do Broku, urodzony w Radomiu Tomasz Józef Bolesław Smólski i tutaj pojął w roku 1867 za żonę pannę Mariannę Eufemię Bogusławską, zamieszkałą z rodzicami w Broku, ale urodzoną we wsi Podgórze w parafii Kadzidło. Ojciec panny młodej był najprawdopodobniej leśnikiem[46]. Przy nazwisku pana Tomasza Józefa Bolesława proboszcz pięknie wykaligrafował słowo felczer, więc niewykluczone, że pan młody legitymował się dyplomem pełnym lakowych pieczęci i ozdobnych napisów. Kolejną osobą świadczącą usługi medyczne mieszkańcom brokowskiej parafii był „utrzymujący się z felczerstwa”[47] Franciszek Bieliński, który w roku 1899 pojął w kościele brokowskim za małżonkę Mariannę Wójcicką.

AKUSZERKI I BABKI POŁOŻNE

Pisząc o felczerach, nie sposób pominąć akuszerek, często mylonych z wiejskimi „babkami”, które nie kończyły żadnych szkół, a swą wiedzę nabywały dzięki doświadczeniu i praktyce. W wieku XIX przy Uniwersytecie Warszawskim istniała Szkoła Akuszerek. Do roku 1839 nauka w szkole trwała rok, później zaś 1,5 roku. Dziewiętnastowieczne akuszerki przyjmowały porody, pielęgnowały kobiety w połogu, uczyły je, jak opiekować się noworodkiem i służyły wszystkim mieszkańcom pomocą w nagłych wypadkach, np. opatrując rany. Na prowincji odczuwano dotkliwy brak akuszerek, a z Zuzeli pisano: „Na zakończenie dodam tylko, że z powodu nadmiaru domorosłych i kapitalnie ciemnych babek, a braku wykwalifikowanych akuszerek, w jednej tylko Zuzeli jest coś 5 kandydatów na wdowców, co chyba do jaśniejszych stron życiowych tutejszego zakątka nie da się zaliczyć”[48].

Autor mocno przesadza, bo bez babek położnych zupełnie by sobie na prowincji nie poradzono, a bywały w swym fachu kobiety bardzo dobre, dobre, ale i takie, który z powołaniem całkowicie

[43] Tamże, nr 47 (203) z 23 listopada 1884 r.
[44] Jadwiga Sadowska, dz. cyt., s. 60.
[45] Tamże.
[46] Tamże, s. 60-61.
[47] Akta stanu cywilnego parafii rzymskokatolickiej w Broku 1826-1913, akt ślubu 33/1899.
[48] „Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 26 z 29 marca 1902 r.

się rozminęły i ktoś mógłby sądzić, że miały spółkę z grabarzem. Pod koniec wieku w spisach urzędowych powiatu ostrowskiego widniały nazwiska zaledwie kilku kobiet oficjalnie uprawnionych do odbierania porodów. W Ostrowi były to Wiktoria Judzicka i Katarzyna Dzwonkowska, w roku zaś 1914 Cecylia Siwek i Balbina Fajgenbaum[49].

Doświadczone i sprawdzone akuszerki cieszyły się wielkim poważaniem. Gdy w wyniku różnych perypetii życiowych w nędzy znalazła się wyżej wspomniana Katarzyna Dzwonkowska, to z pomocą pospieszyła Amelia Harusewicz, tworząc specjalny komitet. Wynajęto dla staruszki pokój najpierw u Walerii Dobrzyńskiej, a później u rodziny Rytlów, zapewniono opiekę, wikt i opierunek. Po śmierci pani Katarzyny, która nastąpiła w styczniu 1900 r., urządzono jej pogrzeb, a pozostałe, zebrane drogą zbiórki pieniądze, przeznaczono na cele charytatywne[50].

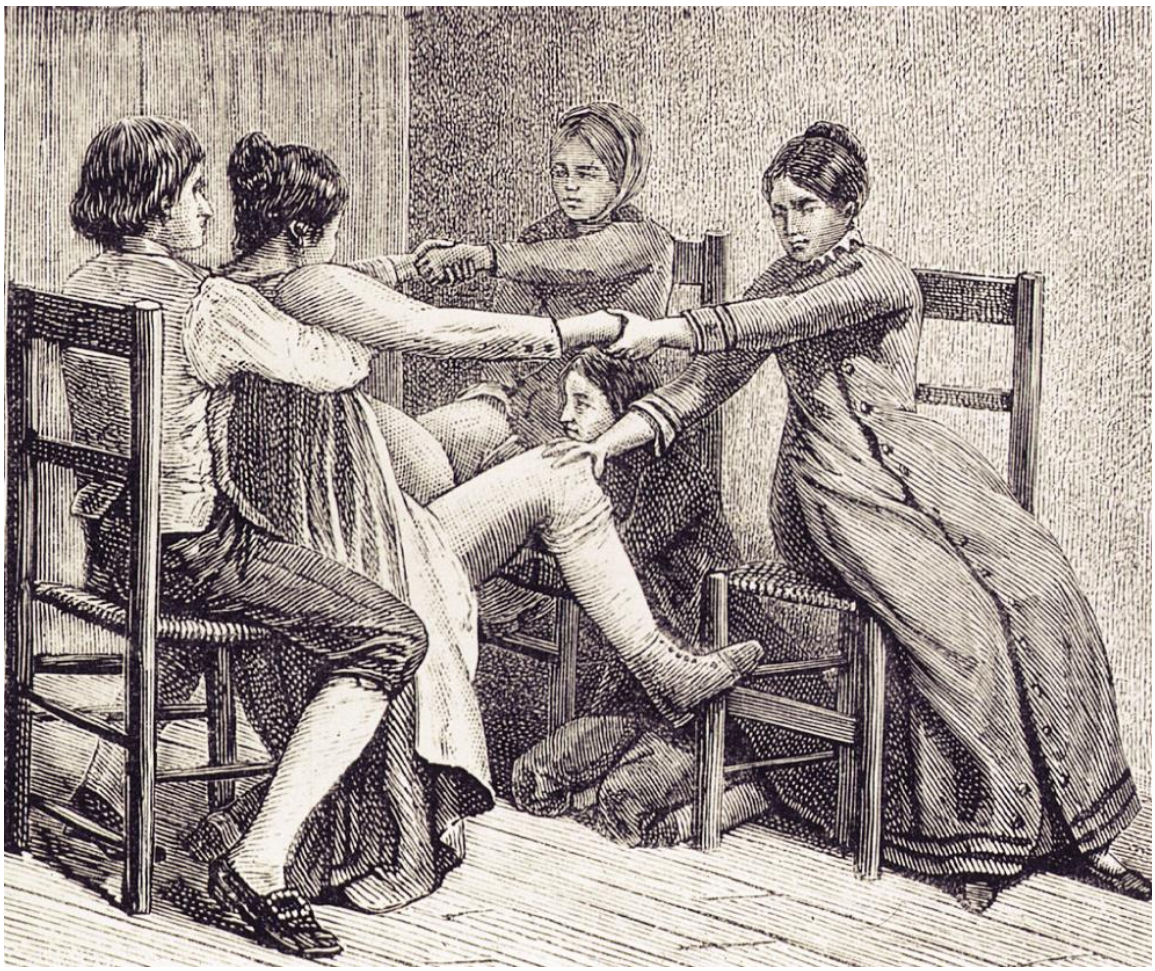

Ilustracja 6. Gustaw Józef Witkowski, *Narodziny dziecka*, rysunek, XIX w.
Źródło: *Gustave Joseph Witkowski, Public domain, via Wikimedia Commons*.

[49] *Ostrów (Mazowiecka) w łomżyńskich dokumentach…*, s. 33-34.
[50] „Echa Płockie i Łomżyńskie", nr 10 z 3 lutego 1900 r.

ZNACHORZY, BABY-DOCHTÓRKI, DOCHTÓRY-CAROWNIKI…

W sprawach poważniejszych i o naturze nie do końca poznanej lepiej było zdać się na wiedzę znachora, wiejskiej babiny, owczarza, oby tylko słynęli w całej okolicy ze swych unikalnych talentów. Pomocny mógł się okazać także dziad wędrowny, bo kawał świata przeszedł i wiele rzeczy widział. Dziadom zaś często towarzyszyły żebraczki, z których wiele znało się na ziołach, umiało odpędzać uroki, a jak ktoś czuł taką potrzebę i sypnął groszem, to na wskazaną osobę i klątwę rzuciły lub ją opętały. Wszyscy ci ludowi specjaliści mieli z pewnością lepszy kontakt z niebiosami niż uczony doktor, a choćby nawet nie z niebiosami, ale z czartem utrzymywali znajomość, to trudno, bo najważniejsze, żeby pomogli – później człowiek się wyspowiada, kilka zdrowasiek odmówi, da na mszę i będzie dobrze.

Typowym przykładem kogoś szukającego pomocy był Franek, którego przypadek opisano ponad 160 lat temu w tygodniku „Kmiotek”[51]. Żona tego włościanina okrutnie zaniemogła, a głowę miała „rozpaloną jak piec i byle co pletła przez całą noc”. Jako pierwsze pospieszyły z pomocą wioskowe „baby-dochtórki”, ale gdy nic nie wskórały, to Franek udał się do organisty. Ten człek mądry i w świecie bywały jeszcze do niedawna służył medyczną pomocą, ale odkąd nastał niechętny takim praktykom proboszcz, musiał swą uzdrowicielską aktywność porzucić. Wieśniak zwrócił się zatem do najwyższej instancji, czyli plebana i opowiedział o tym, co mu dotychczas doradzano: „Raili mi tam przeróżnie, jedni wódkę, drudzy oliwę. Wojciechowa mówiła, żeby jej dawać psie sadło z gorącym piwem, a Wickowa odczyniła urok, a że węgiel utonął, więc powiadała, że ją urzekł Szymon, co mu nie chciała moja prosięcia sprzedać. Bo proszę Jegomości, jak węgiel utonie, to chłop urzekł, a jak chleb, to baba”.

Dobrodziej zganił Franka, iż w gusła wierzy i obiecał, że wpadnie po mszy chorą odwiedzić, a na razie doradził, by czystą chustę w zimnej wodzie namoczyć i tą chustą głowę chorej obłożyć. Obiecał też duchowny, że jak to nie pomoże, to da Frankowi list polecający do doktora z miasteczka. Włościanin, słysząc słowo „doktor”, jakby się przeraził, bo to przecież mało, że niczym wyrok śmierci na żonę to jeszcze i koszty sporawe.

Po drodze do chałupy napotkał szafarkę, która wodną poradę proboszcza wyśmiała, bo po chrzcinach u Kozikowej, takich bólów dostała, że choć wody nie znosi, to za poradą dobrodzieja wypiła jej z pół konewki i nic to nie dało. Poradziła Frankowi, aby poszedł do dwora, a dziedziczka już coś tam zaradzi. W każdym dworze była bowiem „panna apteczkowa”, która sprawowała zarząd nad pańską spiżarnią i apteczką, podczas gdy nad przeznaczonymi dla ogółu krupami, mąkami, okrasami itp. pieczę sprawowała szafarka. W mniejszych dworach często to dziedziczka troszczyła się o zdrowie poddanych i domowników, choć bywało tak i po tych większych, gdy dziedziczka znajdowała upodobanie w tej szerzącej dobro i przynoszącej zaszczyt działalności. Pani poprosiła włościanina o opis dolegliwości i dotychczasowej kuracji jego małżonki, a ten ze szczegółami opowiedział o Szymonie, co ją urzekł oraz o pojeniu chorej piwem z miodem i smarowaniu wódką z oliwą. Franek otrzymał od dziedziczki flaszeczkę z jakąś miksturą, cukier, gorczycę oraz zalecenia, co ma z tym wszystkim robić.

[51] „Kmiotek”, nr 4 z 26 stycznia 1861 r.

Biegł do domu, gdy napotkał Mośka, który całą ludową, proboszczowską i dworską medycynę podsumował dwoma słowami – „diabła warta". Wyjawił także, że ma własną „*fein* medycynę" w postaci płynu we flaszeczce, którą mu brat Szmul przywiózł z samej Warszawy. Wystarczy „kieliszek dać do gęby i będzie zdrowa". Mosiek okazał się filantropem, gdyż za cudowny medykament nie wziął ani kopiejki, a zadowolił się należącą do Franka gęsią „z szarym skrzydłem, co wodzi gąsiętom".

Włościanin zastał w chacie sąsiadkę Onufrową, która przyprowadziła Sowinę, „babę-dochtórkę" z sąsiedniej wsi. Ta, nie tylko poddała ostrej krytyce metody leczenia innych bab, ale za nic sobie miała także zalecenia proboszcza i dziedziczki, a zwany ratafią medykament Mośka wydudliła sama. Oblizała się ze smakiem i nim przystąpiła do zamawiania choroby, zażądała gorzałki, bo „ciężkie te doktórstwo, trzeba się skrzepić". Pokrzepiona przystąpiła do zamawiania choroby: „Na wszyckie czasy, tfu! Idź na bory, na lasy, tfu! Na psa urok, tfu! Na burą kotkę, tfu! Na czarnego kocura, tfu! Na wieki amen! A teraz roztworzcie gębę [zwraca się do Frankowej] i połknijcie kieliszek wódki! To urok wyjdzie przez nos i oczy!".

Ledwo zakończyła, a do chałupy weszli dziedziczka z plebanem. Franek tłumaczył, że nie wykonał poleceń ludzi światłych, bo tyle się „bab naschodziło i tak mu skotłowały głowę", że o wszystkim zapomniał. Chciał, czy nie chciał, to w końcu musiał jechać biedny Franek do miasta po doktora. Warto nadmienić, że wizyty w chłopskiej chałupie, ale i w domu prostego mieszczanina przedstawiciele elity nie zaliczali do zdarzeń przyjemnych. Niczego się bowiem wieśniak, ale i mieszczanin nie bał bardziej niż chłodu i świeżego powietrza, toteż gdy ktoś słabował, to w piecu palono, bodajby pękł, okna i drzwi szczelnie zamykano, więc powietrze w izbach w pełni zasługiwało na miano zepsutego.

(Sowina zażegnywa Frankową: Na burą kotkę! tfu! na czarnego kocura tfu! tfu! tfu!).

Ilustracja 7. Uzdrowicielka[52].

[52] Tamże.

Byli znachorzy ogólni, tacy od wszystkiego, ale byli także specjaliści, jak na przykład: krwiarze od upuszczania krwi; różannicy od zamawiania róży; zażegnywacze żaby, bo o tych, którzy dostali napadu padaczkowego mówiono, iż „tłucze ich żaba"; zażegnywacze wścieklizny, przy czym, ci od wścieklizny nie mogli zajmować się „żabą", i na odwrót, gdyż to groziło utratą daru uleczania[53]. Jeśli kogoś ukąsiła żmija, to od Narwi po Bug, a nawet dalej, każdy wiedział, że najlepiej szukać ratunku w miejscowości Trzcianne. Mieszkał tam słusznego wieku starozakonny, specjalizujący się w zamawianiu ukąszeń. Nie jeździł z wizytami po domach, ale wymagał przywiezienia cierpiącego do swej placówki ochrony zdrowia, czyli chylącej się ku ziemi starej chałupy. Przed zabiegiem umawiał się z cierpiącym lub jego rodziną, co do niemałej zapłaty, przy czym przyznać trzeba, że umożliwiał ubogim dokonanie płatności w ratach. Miejsce, do którego doszła puchlina, obwiązywał tasiemką i mruczał magiczne zaklęcia. Modlitwy i zaklęcia były nieodzownym elementem rytuału uzdrawiania. Musiał znachor coś tam pod nosem mruczeć, gdyż inaczej byłby zwykłym konowałem, bez jakichkolwiek kontaktów w zaświatach. Dobrze widziany był także zestaw rytualnych gestów, ruchów, a im dziwaczniejsze, tym lepiej świadczyły o znachorze. Standardem było obfite strzelanie śliną oraz okadzanie, chuchanie, podskakiwanie, okrążanie chorego, rzadziej taniec. Wszystko to stanowiło rodzaj starannie wyreżyserowanego spektaklu, a im lepszy reżyser i scenograf, tym chętniej ludzie sięgali po ruble. Ponoć nie zdarzyło się, aby któryś z pacjentów eksperta z Trzciannego zszedł z tego świata, co złośliwi przypisywali raczej faktowi, że w tamtej okolicy nie było gadów mogących spowodować zgon człowieka[54].

Z osobami, które „miały węża w kieszeni" i ociągały się z uiszczeniem zapłaty, radził sobie ów zamawiacz w sposób bardzo prosty. Na jego gwizd wypełzały z różnych zakątków chałupy węże i żmije, a klienci drżącymi ze strachu dłońmi wypłacali należność, co do grosza i kopiejki. Rytuał przywołania gadów był nieodłącznym elementem zawarcia każdej umowy ratalnej. Znachor nie krył, że zwłoka w spłacie skończy się odwiedzinami jego pełzających przyjaciół w chacie dłużnika i tegoż śmiertelnym pokąsaniem.

Wypada dodać, że żmiję, której zdarzyło się pokąsać mieszkańca północnego Mazowsza i Podlasia czekało życie krótkie i przykry koniec. Dręczony wyrzutami sumienia, przeklęty przez ofiarę gad, zalegał w koleinie na drodze, czekając, aż rozgniotą go koła wozu lub końskie kopyta, a jeśli ruch na drodze nie był nadto wzmożony, to przeklęty gad też długo sobie nie pożył. Nie chował się bowiem na zimę do ziemi i ginął z nadejściem pierwszych mrozów.

Pilnie obserwowano zachowanie każdego zwierzęcia, bo prawie wszystko mogło stanowić wróżbę. Choćby taka kura, często niesłusznie nazywana głupią. Nikomu nie należy życzyć, żeby zapiała jak kogut, bo następstwa będą dla jej właściciela tragiczne. Była jednak rada. Zanoszono kurę do kuchennego stołu i mierzono ptakiem odległość do progu domu. Pomiar był dosyć łatwy, bo po prostu obracano kurę raz łebkiem do przodu, a raz łapami. Część ciała kury, która wypadła poza próg odcinano – to tylko ratowało od przekleństwa. Na północnym Mazowszu i Podlasiu znano także niezawodny sposób na niesienie się kur. Na zimę należało bezwzględnie zdjąć kosę z kosiska. W pierwszym dniu Wielkiejnocy kur nie karmiono, a ze

[53] Marzena Marczewska, *Ja cię zamawiam, ja cię wypędzam… Choroba studium językowo-kulturowe*, Kielce 2012, s. 94.
[54] Zygmunt Gloger, *Zabobony i mniemania ludu nadnarwiańskiego*, Kraków 1877, s. 5.

zniesionych jaj gospodyni przyrządzała suto okraszoną jajecznicę, którą wystawiała na zewnątrz. Wielu ludzi na własne oczy widziało, jak szatan pod postacią czarnego psa, pałaszował ze smakiem hojny poczęstunek[55].

Skoro odwiedziliśmy starozakonnego znachora, to warto zauważyć, że w żydowskiej medycynie ludowej sporo było sprytu, służącego oszukaniu choroby. Starozakonni uzdrawiacze zalecali na przykład, aby w czasie zarazy pisać na bramach domów: „Tu już panowała cholera, tyfus itp.”[56]. Jeśli ktoś cierpiał na febrę, to czując zbliżający się atak choroby, winien opuścić mieszkanie, a na drzwiach napisać: „N.N. nie ma w domu”[57]. W każdym z tych przypadków choroba miała zrezygnować z nawiedzenia tak oznaczonej ludzkiej siedziby. Żydzi bowiem nadawali chorobom cechy ludzkie i przypisywali ludzkie motywy postępowania. Identycznie czynili Polacy. W Zambskach Kościelnych nad Narwią jeszcze nie tak dawno niektórzy przysiąc byli gotowi, iż widzieli na własne oczy demona tyfusu: „Był to wysoki, chudy starzec o czerwonej rozognionej twarzy i pozornie błędnych oczach, ubrany w czarny garnitur typu miejskiego, w białą koszulę i czerwony krawat. Zarażał on ludzi swym spojrzeniem”[58]. Natomiast do Mielnika nad Bugiem przychodziła z lasu jędza, która „przynosiła ze sobą worek z chorobami. Mimo swego wyraźnie złośliwego stosunku wobec ludzi ostrzegła chłopa, który ją na drodze zabrał na wóz, aby zarówno sam siebie, jak i wszystkich członków rodziny okadzał dymem z jałowca, aby w ten sposób mógł się ustrzec przed zarazą. Baba ta podobno miała żelazne nogi i zęby, a ubrana była w niechlujną, wyrudziałą, czarną sukienkę. Po jej przejściu przez wieś wielu ludzi zapadało na tajemniczą chorobę zakaźną”[59].

Kazimierz Władysław Wójcicki, dziennikarz, literat i wydawca osobiście obserwował pracę podlaskiego starego znachora zajmującego się zdejmowaniem uroków: „Widziałem, jak zdejmował urok. Stawał on przed osobą urzeczoną, a szeptając w cichości słów kilka, od nóg zaczynając aż do głowy, dmuchał na nią. […] Tak więc urok zdjęty został, a starzec wśród wykrzyków wdzięczności z nagrodą odchodził”[60].

Ów dziennikarz spotkał na swej drodze także Hrycia Gerełłę, człowieka obdarzonego wzrokiem czyniącym uroki. Każdego, kto ujrzał złe oczy tego Podlasiaka, przechodził ponoć dreszcz, jego zaś wzrok przynosił śmierć, a co najmniej chorobę. Jeśli zaś rzucił okiem w nieszczęśliwą godzinę na jakąkolwiek roślinę, to ta usychała migiem – obojętnie kwiatek czy drzewo. Ze swej natury był ponoć Hryć dobrym, poczciwym człowiekiem i przeklinał dzień, w którym został obdarowany taką mocą. Po długich, a prowadzonych metodą prób i błędów badaniach, wieśniacy szczęśliwie odkryli, iż ten uroku unikał, kto na widok Hrycia wypowiedział formułę: „Sól peczyna[61], z lichemi oczyma”[62].

[55] Tamże, s. 1.
[56] Benjamin Wolf Segel, *Wierzenia i lecznictwo ludowe Żydów*, „Lud” 1897, z. 3, s. 53.
[57] Tamże, s. 55.
[58] Bohdan Baranowski, *W kręgu upiorów i wilkołaków*, Łódź 1981, s. 264.
[59] Tamże, s. 265.
[60] Kazimierz Władysław Wójcicki, *Zarysy domowe*, Warszawa 1842, t. 3, s. 348-349.
[61] Peczyna – glina przepalona w piecu [przyp. aut. art.].
[62] Kazimierz Władysław Wójcicki, dz. cyt., t. 3, s. 347-348.

Znacznie bliżej Buga, bo w Gutach, w gminie Jasienica zamieszkiwał słynny znachor ogólny. Jakby tego było mało, to był również mistrzem jasnowidzenia, a przeszłość i przyszłość pacjenta odczytywał z jego moczu, choć obiektywnie pisząc, to cudotwórcy znacznie lepiej szło z odgadywaniem przeszłości niż przyszłości. Człek ten, choć bezrolny i biedny to cieszył się wielką estymą i trudno uwierzyć, że nawet w jego przypadku nie brakło niewiernych Tomaszów. Powiadali, że gdy tylko starzec ze swej ulokowanej na pagórku za wsią ubożuchnej chałupinki dojrzał potencjalnego klienta, to chował się, a na spotkanie z przybyszem wysyłał córkę. Ta zaś udając przypadkowo przechodzącą wieśniaczkę, wypytywała nieznajomego: o cel jego odwiedzin; o to, skąd przybył; w jakiej sprawie; na co on lub osoba, której pragnie pomóc, cierpi i jakie są tej przypadłości objawy. Gdy już wiedziała dostatecznie dużo, to mówiła, że znachora widziała we wsi, a zatem w domu go nie ma, więc niech interesant przyjdzie lepiej za czas jakiś. Gdy nadszedł moment wizyty, to mistrz o nic nie wypytywał, patrzył tylko w przyniesiony w buteleczce mocz, czytał w nim niczym w księdze i wygłaszał monolog w rodzaju poniższego: „Przybywacie pewnikiem spod Prostyni, choruje wam matka, która ma już kopę lat. Biedactwo jest uduszliwa i kaszląca, spać i jeść nie może, a od miesiąca nogi już jej puchną. Niedługo już wam pożyje nieboga, może doczeka do gromnic albo i nie. W każdym razie spróbujcie dać jej te proszki (próchno ze starej wierzby), niech je pije z wódką, dawajcie jej brudu zeskrobanego z 7-iu progów, powinno jej to ulżyć”[63].

Sława jasnowidzącego z Gut rosła, po jego zaś śmierci praktykę przejęła córka, ale zdaje się, że nie odziedziczyła po ojcu wszystkich talentów, bo nie cieszyła się tak wielką renomą, choć na brak klienteli nie narzekała. Jeden z mieszkańców okolicy – wnosząc z treści epistoły zawodowy malkontent lub niezadowolony pacjent – tak pisał o niej w liście do jednego z tygodników: „Lenistwo, brak wiary w powodzenie, coraz szerzej się rozpościera. Obok tego wiara w czary, gusła, zabobony i znachorów jest jeszcze mocno zakorzeniona. Znachorka we wsi Gutach, gminie Jasienickiej, niby lecząc ludzi, a właściwie tumaniąc różnemi głupstwami, ściąga do siebie z daleka łatwowiernych, którzy ciemnej babie więcej ufają i wierzą, niż prawdziwym uczonym lekarzom”[64].

U schyłku XIX w. jeden z mieszkańców nadbużnej miejscowości powiatu ostrowskiego pokusił się w liście do gazety, o krótki opis okolicznego ludowego lecznictwa.

> Jako środek niezawodny na gruźlicę zalecają używanie słoniny dwunastoletniej z pewną domieszką. Od wyrzutów skórnych, powstających, jak twierdzą, w skutek zakażenia soków, bardzo pomocnym będzie oddech owczy w oborze. Chore na skrofuły[65] dziecko zanoszą na kilka godzin do owczarni, aby go zwierzęta „obwąchały”, co ma mu „nadać”. Pomocnym na strupy różne jest kwacz[66] kowalski, którym sam kowal powinien maczać cierpiące miejsca trzy razy. Przytem niezbędne są pewne formy obrzędowe np. żeby podczas aktu do nikogo nie przemawiać, bo wtedy nic nie pomaga; również nieoglądanie się za siebie, umiejętne postawienie nogi, przyczyniają się pomocnie przy takich obrzędach.
> Gdy bydło „wiatr zawieje” to leczą tak, że konował przebija bydlęciu skórę nożem.

[63] Adam Jarosiński, *Szkice z nadbużańskiego Podlasia*, Warszawa 1925, s. 58-59.
[64] „Gazeta Świąteczna”, nr 36 (1440) z 6 września 1908 r.
[65] Gruźlica węzłów chłonnych, zwana niegdyś zołzą, objawiająca się obrzękiem i ropieniem węzłów chłonnych występujących na szyi. Jej zewnętrznym efektem były paskudne narośla i ropiejące, smrodliwe rany [przyp. aut. oprac.].
[66] Pędzel [przyp. aut. oprac.].

> Konie od „ochwatu" leczą dwoma sposobami: 1) konia chorego trzymają powyżej kolan w wodzie przez kilka godzin lub 2) obwijają jęczmiennym powrósłem nogi raz przy razie do kolan i wyżej, poczem oprowadzają konia, a właściwie zmuszają go do chodu"[67].

Nie brakowało specjalistów także po lewej stronie Buga. Czytelnik jednego z tygodników uznał za konieczne podzielenie się z czytelnikami swymi uwagami o dwójce z nich: „Jeden mieszka we wsi Wycechu, a nie tylko z sąsiednich, ale i z dalekich wiosek schodzą się do niego ludzie; drugi, zamieszkały we wsi Stoczku, choć pełni obowiązek dziadka kościelnego, jednakże również oszukuje ludzi swojemi niby-to lekami. Dużo oni wyłudzają pieniędzy od biednych ludzi, dużo już chorych poszło z ich leczenia na tamten świat, a jednak wieśniacy dotąd nie poznali się na nich i dają się im wyzyskiwać"[68].

Dr Adam Jarosiński, który kierował stworzonym przez ziemianina Ludwika Górskiego szpitalem w Sterdyni, wspominał o pewnym biegłym w piśmie arabskim (a przynajmniej kreślącym coś, co takie pismo przypominało) Tatarze, który trudnił się uzdrawianiem ludzi w leżącej za Sokołowem Podlaskim, a bliżej Siedlec miejscowości Hołubla. On z kolei wypisywał na skrawkach papieru wersety z Koranu, po czym zwijał papierki w kulki i kazał je łykać cierpiącemu. Co dziwne, kulki z koranicznymi wersetami pomagały także chrześcijanom i wyznawcom judaizmu[69].

Wspominany przez sterdyńskiego lekarza Tatar, to raczej nie Marcin Chodowiec także praktykujący w Hołubli cudotwórca, którego sława sięgała tak daleko, że zjeżdżali do niego potrzebujący z Warszawy i Białegostoku, więc bywali tam zapewne i chorzy z okolic Broku, Ostrowi, Poręby czy Sadownego. Wprawdzie o konfesji „cudownego Marcinka" wygadywano niestworzone rzeczy, ale nikt nie wspominał, iżby był muzułmaninem. Miejscowi księża twierdzili, iż był osobą żarliwie religijną i regularnie chadzał do kościoła. Działalności tego znachora nie sposób skwitować kilkoma kpiącymi zdaniami, gdyż nawet tamtejszy proboszcz ks. Franciszek Chwedoruk przyznawał, iż był Chodowiec obdarzony jakimiś niezwykłymi zdolnościami – widział to, czego inni nie dostrzegali i choć leczył prostymi metodami, to był nadzwyczaj skuteczny. Brał zaś za swoje porady, tyle ile kto mógł dać.

Na przykład w sąsiedniej wiosce żył, a raczej wegetował człowiek, cały pokryty wrzodami. Nie pomagali doktorzy, nic nie dawały lekarstwa apteczne i te ludowe. Znachor polecił owinąć cierpiącego w połeć świeżej, jeszcze ciepłej słoniny. Gdy po kilku godzinach zdjęto ten osobliwy kompres, to roił się od plugawego robactwa. Chory poczuł się lekki i jakby oczyszczony, a wrzody znikły w ekspresowym tempie.

Od czasu do czasu ks. Chwedoruk odwiedzał Marcinka. Widział, jak pewnego razu przybyli z Białegostoku rodzice z synem, który nagle stracił mowę – byli pewni, że chodzi o jakąś chorobę. Znachor spojrzał na rodziców, na dziecko i już wiedział, że przyczyna ułomności chłopca nie była cielesna. Ujrzał połączoną z rękoczynami straszną awanturę w ich białostockim domu, podczas której ganiano się po izbach z siekierami. To właśnie ta burda, tak

[67] „Echa Płockie i Łomżyńskie", nr 40 z 20 maja 1899 r.
[68] „Gazeta Świąteczna", nr 22 (178) z 1 czerwca 1884 r.
[69] Adam Jarosiński, dz. cyt., s. 58.

wystraszyła chłopca, że zaniemówił. Rodzice potwierdzili, iż faktycznie takie zajście miało miejsce. Bywały jednak przypadki, gdy Marcinek szczerze przyznawał, że nie może pomóc. Może dostrzegł coś tak niepokojącego, że nie chciał lub bał się podjąć leczenia?

Marcinek niezawodnie wskazywał miejsca, gdzie należy kopać studnię czy szukać zaginionych pieniędzy. Krótko przed swą śmiercią, do której doszło w maju 1936 r., przepowiedział, iż w Hołubli stanie kościół pobudowany z „gruzów siedleckich". Rzecz jasna nikt nie miał pojęcia, o co chodzi, ale na spełnienie się przepowiedni nie trzeba było czekać długo. We wrześniu 1939 r. zostało zbombardowane i spalone centrum Siedlec. Proboszcz z Hołubli zakupił cegły ze zrujnowanego budynku Kasy Chorych i w latach 1940-1942 postawił z nich piękny kościół[70].

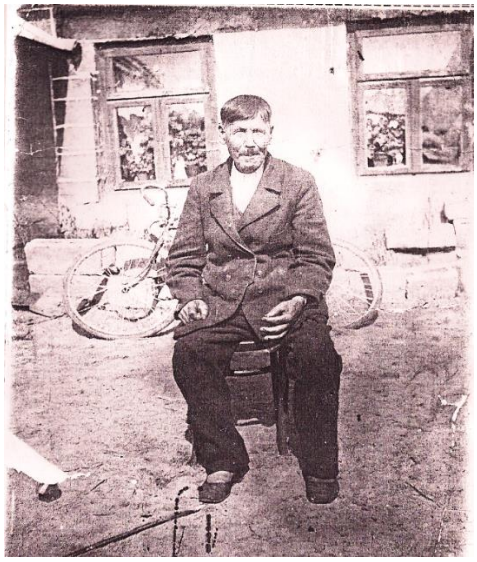

Ilustracje 8 i 9. Cudowny Marcinek – Marcin Chodowaniec. Poniżej jego zbudowany z pustaków dom. Uwagę przyciąga siedem trójkątnych okien. To liczby symboliczne, gdyż siedem chórów anielskich otacza tron Boży, a Bóg jest w trójcy jedyny.
Źródło: *„Doktor" Marcinek*, na portalu Hołubla – tam, gdzie jest nasz dom *hołubla.pl*.

[70] *Zgon „cudownego Marcinka" jasnowidza z Hołubli*, „Goniec Warszawski" 1936, [za:] *„Doktor" Marcinek*, na portalu Hołubla – tam, gdzie jest nasz dom *holubla.pl*.

Pośród znachorów często trafiali się bezczelni szalbierze, oszuści i szantażyści. Jeden z nich trudnił się czarowaniem w Andrzejewie, o czym donosił mieszkaniec miasteczka podpisujący się inicjałem „M.”:

> Jako przyczynek do zabobonów średniowiecznych, praktykujących się tutaj donoszą nam o następującym wypadku. Od roku przeszło chorował na reumatyzm Żyd tutejszy, bogaty kupiec Judka Epstein. W kolanie wywiązała się opuchlina i nastąpiło skurczenie nogi, tak, że chory wcale chodzić nie mógł. Zasięganie kilkakrotne porady lekarskiej na razie wielkiej ulgi nie przyniosło. Korzysta z tego jeden z mieszczan miejscowych Karpiński i wmawia w Żyda przekonanie, że to on Karpiński zaczarował go i dopóki nie złoży mu 300 rb. chociażby udawał się do warszawskich specjalistów, zdrowszym nie będzie. Gdy choroba się przeciągała, Żyd uwierzył w owego czarownika i dał na rachunek 25 rb. na zdjęcie czarów, a pozostałość obiecał wypłacić po wyleczeniu. Fakt powyższy wpływa demoralizująco na wszystkich i czyby policja nie powinna takiego *sui generis*[71] czarownika, wziąć pod swoją opiekę, ażeby na przyszłość odeszła mu ochota otumaniać lud[72].

Im dalej w górę Buga, tym więcej było wyznawców medycyny alternatywnej i tym większym wzięciem cieszyły się osoby ją uprawiające. Istnym centrum leczniczym był nadbużny Gródek, gdzie w co drugim domu praktykował cudotwórca. Podobnie, jak gdzie indziej, także tutaj lekarstwa apteczne budziły odrazę, a brano je tylko ze względu na wydane pieniądze, żeby się nie zmarnowały. Za to każda najohydniejsza mikstura, choćby jej głównym składnikiem było krowie łajno czy wywar z ropuch, łykano bez mrugnięcia oka. Pewnego dnia, na tyfus zachorowała kobieta. Wprawdzie po kilku tygodniach wyzdrowiała, ale jeszcze po wielu miesiącach była tak słaba, że o własnych siłach nie mogła przejść z jednej strony izby na drugą. Nie było innej rady, jak poradzić się babki, a ta tak powiada: „Trzeba wziąć drobnych gałązek z tarniny wiązeczkę sporą, bylicy, piołunu, macierzanki, rozchodniku, mięty, pokrzywy i różnego ziela, wosku nietopionego cały plaster, kilkanaście trzasek żywicznej sosny, to wszystko ułożyć na środku izby, pokropić święconą wodą i dotąd przez ten ogień bosemi nogami przechodzić, póki się wszystko nie spali – a całą niemoc z nóg ogień święty wyciągnie”[73].

Chorej, wdowie samotnie wychowującej kilkoro drobnych dzieci gospodarka za przyczyną tej słabości nie szła, więc całowała babkę po rękach w podzięce za tak dobrą radę. Już następnego dnia, rozpaliła w izbie ogień i rozpoczęła zabieg. Dobrze, że jakiś przechodzień, widząc dym unoszący się z okna, zajrzał do chaty, bo niechybnie całą chałupę ogień by pochłonął. Biedaczka zakończyła zabieg ze stopami tak poparzonymi, że nie było innej rady, jak odwieźć ją do szpitala, gdzie odjęto niebodze zwęglone palce u stóp. Cierpienie musiało być trudne do wyobrażenia, a kobieta zdesperowana i odważna, skoro zgodziła się na kurację w szpitalu, bo panowało powszechne przekonanie, że lepiej chorować, a nawet umrzeć, we własnym brudnym i ciasnym kącie, niźli poniewierać się po szpitalach. Wbrew pozorom, kaleka włościanka nie

[71] Swego rodzaju, osobliwego [przyp. aut. oprac.].
[72] „Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 22 z 15 czerwca 1898 r.
[73] St. Z., *Z nad Buga*. *Szkic etnograficzny*, „Lud” 1897, z. 3, s. 20.

miała nic do zarzucenia dochtórce, a wręcz okazała jej wielką wdzięczność, bo wprawdzie bez odjętych, spalonych palców, ale mogła chodzić.

Nad Bugiem wierzono, że bóle brzucha powoduje mieszkająca tam istota zwana „macicą". Rozeźlona macica wyczyniała najróżniejsze harce, powodując bóle. Dochórka siadała wtedy na nogach leżącego chłopa i masowała jego brzuch, wołając „macica nachódź na swoje miejsce"[74]. Zawołaniom towarzyszyły najgorsze przekleństwa, bo macicę należało mocno wystraszyć.

Był też w Gródku znachor specjalizujący się w produkcji eliksiru zapobiegającego skutkom ugryzienia przez wściekłego psa. Ludzie zjeżdżali z najdalszych stron, bo zakupić ten niezawodny specyfik w cenie 30 kopiejek za maleńką buteleczkę. Znachor nie dawał gwarancji, ale nigdy nie omieszkał dodać, że magiczny płyn zadziała, „gdy tylko Bóg tak zechce".

Jeśli ktoś dostał pomieszania zmysłów, to zdaniem mieszkańców Gródka sam był sobie winien, gdyż utrzymywał stosunki ze złymi duchami. Dlatego z osobami niespełna rozumu obchodzono się umiarkowanie litościwie. Jednego z ciepiących trzymano zamkniętego na kłódkę w chlewiku[75] Kobieta, która zapadła na chorobę umysłową skutkiem poniewierki i złego traktowania przez męża, choć niegroźna, to całymi nocami błąkała się z maleńkim dzieckiem przy piersi po okolicy. Spała, gdzie popadnie, najczęściej w dołach po wybranej glinie. Czasami ktoś się nad nieszczęsną ulitował, wykąpał, nakarmił, ale nikt jej nie chciał przyjąć pod swój dach na stałe[76].

Znachorstwo uprawiali przedstawiciele wszystkich narodowości. W jednej z północno mazowieckich wiosek dwie rodzime baby-dochórki mało, że nie zdołały uleczyć ciężko chorej kobiety, to skutkiem szeregu dziwacznych zabiegów znacznie pogorszyły jej stan. Zadecydowano, by wezwać niemieckiego kolonistę, słynnego na całą okolicę uzdrawiacza. Po wstępnym badaniu zażądał za leczenie 18 rubli płatnych z góry, po długich zaś targach stanęło na 8 rublach, pęcie kiełbasy, połciu słoniny i gorzałce za 1,5 rubla. Po otrzymaniu zapłaty znachor oświadczył, że szanse chorej na wyzdrowienie są marne, tym bardziej że w ostatnich dniach aż dwukrotnie przyjmowała komunię świętą. Rozeźliło to demona, zawziął się i nie miał zamiaru opuścić ciała kobiety. Mimo tak beznadziejnych rokowań Niemiec dał nieszczęsnej jakiś magiczny napój oraz pozostawił zalecenia, co do dalszej kuracji. W najbliższą niedzielę miała się przed domem ukazać czarownica, która zadała chorobę. Należało ją schwytać, a później oprowadzić po wsi na powrozie, drugim zaś powrozem głowa rodziny miała bez litości okładać podejrzaną, dopóty chora nie wyzdrowieje. Gdy nadeszła niedziela cała rodzina już od świtu pilnie wypatrywała wiedźmy, ale nie wiadomo, czy robili to niedbale, czy też ze zmęczenia przysnęli – czarownicy nie zauważono, nie schwytano, a chora zmarła[77].

[74] Marian Udziela, dz. cyt., s. 161.
[75] Henryk Biegeleisen, *Lecznictwo ludu polskiego*, Kraków 1929, s. 220.
[76] St. Z., dz. cyt., s. 20.
[77] „Echa Płockie i Łomżyńskie", nr 42 z 26 maja 1900 r.

Jeżeli któryś z domowników był słabowity na umyśle, a w położonym między Bugiem i Narwią domu grosza nie brakowało, to wieziono nieboraka do szlacheckiej wsi Świercze. Mieszkał tam ceniony znachor Jan Podbielski, o którym tak pisano:

> Jest to zamożny gospodarz lat około 40. Co dzień przybywają do niego z rozmaitych stron ludzie z chorymi, głównie obłąkanymi. Naprzeciwko mieszka Żyd, u którego można dostać wszelkich przekąsek, a nawet gorzałki, ale trzeba za to wszystko płacić bardzo drogo. Wychwala on bardzo znachora i zwabia do niego chorych, których bywa po kilkunastu dziennie. Tonący brzytwy się chwyta, mówi przysłowie, więc biedni ludziska, szukają ratunku w nieszczęściu, tracą czas i pieniądze. Piszę o tem do Gazety, aby ktoś z tamtej okolicy wyjaśnił, co tam za „cudownego doktora" mają. A dozór lekarski od czego?[78]

Nie minął nawet wiek od prawdopodobnie jednego z ostatnich (nie zaryzykuję stwierdzenia, że ostatniego) polowań na czarownicę na Mazowszu, a było to tak. Apolonia Stachnik zamieszkała w położonym, prawie że nad Bugiem Wieliszewie poczęła gdzieś tak w marcu 1926 r. dziwnie się jakoś zachowywać: przestała mówić, nie poznawała ludzi, aż w końcu poniechała chodzenia i zaległa w łóżku. Mąż Stanisław szukał bezskutecznie ratunku u warszawskich lekarzy, aż dobrzy ludzie poradzili, aby udał się z buteleczką moczu chorej do Ludwika Organowskiego, bodaj najsłynniejszego ówczesnego mazowieckiego znachora, praktykującego sztuki medyczno-magiczne w położonej kilka kilometrów od brzegu Narwi wiosce Nowy Sielec. Badanie moczu wykazało, iż choroba jest wynikiem uroku rzuconego przez jakąś „niedużą i czarniawą" czarownicę. Chora miała wyjawić imię i nazwisko owej wiedźmy po serii kąpieli w specjalnej miksturze. W celu jej sporządzenia należało: „naskrobać mchu z trzech krzyży, wziąć piasku z trzech dróg rozstajnych, dodać soli, ałunu, wszystko to o północy zagotować i chorą w tem kąpać"[79]. Po serii kąpieli udało się ustalić, że ową wiedźmą była słynąca z ekstrawaganckich zachowań Józefa Sołtysowa z domu Zdunek. Przypomniano sobie, że pewnego dnia wpadła do mieszkania Stachników, gdy ci odmawiali modlitwę, po czym lekko uniosła sukienkę – ani chybi rzuciła w tym momencie urok.

Po ustaleniu danych sprawczyni pan Stanisław udał się ponownie do Nowych Sielec, aby omówić dalszy przebieg kuracji. Organowski orzekł, że piersi Stachnikowej należy wysmarować krwią inkryminowanej Sołtysowej z domu Zdunek. Przyznać trzeba, że Stachnik wykazał dobrą wolę i sprawę chciał załatwić po dobroci. Namawiał Sołtysową, aby została dobrowolną dawczynią i przyzwoliła utoczyć z siebie nieco krwi. Ta jednak odmówiła współpracy, zbiegła i zabarykadowała się w domu z dwoma uzbrojonymi w noże synami i siostrą zbrojną w garnek z wrzątkiem.

Stachnik zebrał grupę szturmową w sile on plus siedmiu ludzi oraz teściowa Katarzyna Dubska ze Skrzeszewa. Szanse oblężonych było żadne, gdyż atakujący dysponowali bronią palną. Po krótkiej walce Sołtysową wyciągnięto z jej chałupy i zawleczono do domu Stachniaków. Tam obalono ją na podłogę, po czym pan Stanisław wybił jej pięścią dwa przednie zęby. Podniósł jej głowę, a teściowa podstawiła miskę, aby zebrać ściekającą krew. Rozżarzono kadzidło,

[78] „Gazeta Świąteczna", nr 17 (1473) z 25 kwietnia 1909 r.
[79] Tamże, nr 45 (2388) z 7 listopada 1926 r.

zaintonowano modlitwy i przystąpiono do smarowania chorej. O Sołtysowej chwilowo zapomniano, co ta wykorzystała do ucieczki, biegnąc prosto na policję. Doszło do procesu, w którym Organowski wyjaśnił, na czym polegają magiczne właściwości np. mchu zbieranego pod krzyżami. Sąd cierpliwie wysłuchał tych wynurzeń i uznał, że trudno surowo karać ludzi za ciemnotę. Organowski miał przesiedzieć w więzieniu sześć miesięcy, Stachnik dostał trzy miesiące i to w zawieszeniu, jego zaś teściowa Dubska miesiąc w zawieszeniu. Ponadto Stachnik miał pokryć koszty wstawienia dwóch protez, na miejsce wybitych zębów Sołtysowej. Oskarżeni przyjęli wyrok z zadowoleniem, zwłaszcza że pani Apolonia wróciła do zdrowia[80].

O „ojczulku" Ludwiku Organowskim warto napisać nieco więcej, bo wielu uważało go za świętobliwego starca, który z łaski samych niebios zyskał moc uzdrawiania. Przodowały w tym panie i z wielkim nabożeństwem opowiadały o czynionych przez niego cudach. Ściągały do pana Ludwika tłumy z dalekich zakątków kraju, więc należy przypuszczać, że pośród jego pacjentów znaleźli się i reprezentanci naszej okolicy, jako że do miejsca, w którym praktykował, jest na przykład z Broku niewiele ponad 50 kilometrów. Zdaniem cudotwórcy za wszystkimi dolegliwościami stał czart działający za pośrednictwem czarownic. W pewnym momencie kult ojczulka przyjął takie rozmiary, że sprawą zainteresowali się duchowni. Dopiero jednak opisany powyżej proces sądowy zapoczątkował ostrą kampanię skierowaną przeciwko Organowskiemu przez kilku okolicznych księży. Wkrótce rozeszły się pogłoski, iż to on stał za rzuceniem uroku na sąsiadkę dotkniętą ciężką chorobą płuc. Wyznawcy ojczulka podzielili się na dwa obozy. Jedni nadal widzieli w nim uosobienie cnót wszelakich, inni zaś uważali go za emisariusza piekieł. Pomiędzy najzapalczywszymi paniami stale dochodziło do słownych utarczek, które często przeradzały się w bójki. W trakcie jednej z nich pewna kobieta została ciężko ranna skutkiem pobicia z użyciem pogrzebacza[81].

[80] „Kurier Polski", nr 113 z 26 kwietnia 1927 r.
[81] Bohdan Baranowski, *Pożegnanie z diabłem i czarownicą*, Łódź 1965, s. 120.

DODATEK KU LEPSZEMU ZACHOWANIU ZDROWIA

Leczenie, leczeniem, ale wiadomo, że najważniejsze jest zapobieganie chorobie. Poniżej zamieszczono nieco porad służących przede wszystkim profilaktyce, pochodzących głównie z Mazowsza i Podlasia, a wybranych dość przypadkowo spośród setek, jeśli nie tysięcy[82]. Zgodnie z zasadą *primum non nocere* nie zamieszczono informacji o sposobach przyrządzania przeróżnych mikstur, które mogłyby zaszkodzić czytelnikom.

Najgorsze, co może spotkać kobietę ciężarną to zapatrzenie: „Kobieta ciężarna nie powinna się przypatrywać rzeczom brzydkim, kalekom, pociętym zwierzętom, bo dziecię może się urodzić potworem”[83]. Jeśli marzeniem kobiety w ciąży nie jest urodzenie dziecka pokrytego sierścią, to nie tylko nie może kopnąć, ale nawet i dotknąć nogą żadnego zwierzęcia. Jeżeli trzy brzemienne kobiety się spotkają, a jedna z nich przejdzie między dwoma, to jej dziecko stanie się zmorą.

Na urodzenie dziecka należy wybrać dzień szczęśliwy, co jest równoznaczne z narodzinami pod szczęśliwą gwiazdą. W przeciwnym wypadku wystawiamy los dziecka na hazard. Dobrze jest się urodzić w środę lub w sobotę, natomiast kiepsko w poniedziałek i piątek. Dni „krytyczne, podejrzane i niebezpieczne”, to: w styczniu – 1, 2, 5, 7, 8, 25; w lutym – 4, 11, 12, 13, 16, 20; w marcu – 1, 12, 15, 16, 18, 28; w kwietniu – 6, 7, 10, 15, 20; w maju – 3, 12, 15, 25; w czerwcu – 6, 10, 16; w lipcu – 12, 13, 20, 22; w sierpniu – 3, 10, 18, 31; we wrześniu – 3, 10, 28, 31; w październiku – 3, 6, 22; w listopadzie – 5, 6, 10, 28; w grudniu – 6, 7, 15, 22[84].

Zły to znak, gdy dziecko śpi spokojnie przy chrzcie, a dobry, gdy drze się wniebogłosy. Do chrzczenia dzieci należy użyć wody dwojakiej, innej dla chłopców, a innej dla dziewczynek. Gdy ksiądz wodę pomyli, to dziewczynka będzie miała wąsy, chłopiec zaś będzie zarostu w ogóle pozbawiony. Jeśli pomyli się osoba trzymająca dziecko do chrztu i zamiast „chcę wiary” powie „chcę mary”, to dziecko automatycznie stanie się zmorą. Jeżeli w rodzinie są wyłącznie dziewczęta w liczbie siedmiu, to któraś z nich musi być zmorą.

Aby maluszkowi nie przyśniły się strachy, dobrze jest do łóżeczka dziecka położyć jemiołę. Gdy kto przyjdzie do domu, gdzie są dzieci, to niech przynajmniej na moment przysiądzie, bo inaczej sen dziecku zabierze. Jeżeli dziecko zasnąć nie może, to dobrze jest mu podłożyć pod główkę grzebienie i klucze od wszystkich zamków w domu.

Groźne dla dziecka są uroki, najczęściej rzucane przez kobiety zazdroszczące wszystkiego, a szczególnie dziecka. Urokowi zapobiega przyczepiona do ubranka dziecka czerwona tasiemka lub jaskrawy kwiatek. Zalecenie to ma logiczne uzasadnienie, gdyż wiadomo, że nie tylko wzrok nasz, ale i osoby rzucającej uroki kieruje się najpierw ku rzeczom jaskrawym, a tylko pierwsze spojrzenie ma moc oczarowania. Podobny zbawienny skutek przynosi nałożenie jakiekolwiek części ubrania na lewą stronę. W przypadku niebezpieczeństwa uroku należy powiedzieć – Na psa urok – i trzykrotnie splunąć. Żeby się przekonać, czy dajmy na to, mdłości

[82] Porady pochodzą z dzieł wymienionych w bibliografii artykuły. Ze względu na powtarzalność porad, źródło ich pochodzenia podano tylko w przypadku cytatów.
[83] Marian Udziela, dz. cyt., s. 56-57.
[84] *Compendium medicum auctum to iest: krotkie zebranie i opisanie chorob*, Częstochowa 1789, s. 658.

pochodzą od uroku, rzuca się ku ziemi nóż – gdy wbije się w ziemię, to jest to widomy znak, że urok miał miejsce.

Dziecko nie urośnie, gdy się je przeskoczy. Lepiej nie dawać niemówiącemu jeszcze maleństwu ryb do jedzenia, bo będzie niemową. Jeśli się dziecko przelęknie psa lub innego stworzenia, to warto wystarać się bodaj o szczyptę sierści takiego zwierzęcia. Jeśli zaś dziecko przelęknie się człowieka, to pomoże byle kawałątek tkaniny z jego odzienia – „tem przelęknione dziecko okadzają, spluwając przy tem. Do kadzenia dzieci w tym samym celu służy ziele przestrach, czyli skrzyp”[85]. Jeśli dziecko ma szpecące znamiona na skórze, to dobrze jest poprosić dziada, który przyjdzie po prośbie, żeby poruszał swym kijem po tym znamieniu. Nawet jeśli znamię nie zniknie, to przynajmniej nie będzie rosło. Z miską, z wodą po kąpieli chorego dziecka (dotyczy to także dorosłych) należy wyjść na drogę i czekać na przejeżdżający pojazd. Wodę wylewa się przed pojazd, a chorobę podróżni precz z sobą uniosą.

Węch straci ten, kto wącha na cmentarzu kwiatki. Katar powstaje, gdy się je z talerza, po którym kot kręcił ogonem. Kolka ustaje, gdy się białko z jajka ustawi na słońcu przy oknie. Kto zje chleb lub ser nadgryziony przez myszy, wolny będzie od bólu zębów. Podobny efekt ma zjedzenie nadgryzionego przez wiewiórkę orzecha. Po porannej modlitwie w wigilię Bożego Narodzenia dobrze jest potrzeć zęby czosnkiem. Nie wolno jest nic jeść ani pić, gdy umarłemu dzwonią, bo zęby spróchnieją. Zobaczywszy ropuchę, nie wolno otwierać ust, bo je paskuda porachuje i wszystkie wypadną. Kto je czarny chleb (razowy), ma białe zęby. Pryszcze na języku powstają od obmawiania innych. Spopularyzowane dzięki telewizyjnym reklamom afty mogą być usuwane w sposób bardzo prosty. Należy zrobić nożem dołek pod dębem, napluć doń trzy razy, tyleż razy obejść dąb dookoła, później pójść w inną stronę, a dolegliwość zniknie. Aby pozbyć się bólu zębów, wstajemy z łóżka lewą nogą i rzecz jasna wdziewamy najpierw lewą nogawkę spodni. Wieczorem rozpoczynamy rozbieranie się od nogi prawej, a do łóżka wchodzimy lewą.

Przemywanie twarzy deszczówką marcową i zebraną podczas burzy z piorunami chroni od piegów. Gdy na wiosnę dziewczyna spostrzeże pierwszą jaskółkę, to winna pocierać sobie twarz, a cieszyć się będzie skórą jędrną i świeżą. Aby uchronić się od wągrów na twarzy, należy w Wielki Czwartek położyć mydło na dachu, zdjąć je w Wielką Sobotę i dokonać stosownych ablucji. Kurzajki powstają u tych, którzy wzięli ropuchę do ręki, lub których opryskała wodą żaba. Najprostszy sposób na pozbycie się tego paskudztwa to kurzajki policzyć, wynik zapisać na kartce, a kartkę wrzucić do ognia. Krosty i wszelkiego rodzaju „boloki” giną od moczenia w wodzie źródlanej, rzecznej, a jeszcze skuteczniej w rosie zebranej w naczynie w Wielki Piątek przed wschodem słońca. Szumowin z gotowanego mięsa nie wolno rzucać na ziemię, bo od tego dostaje się wrzodów.

Jęczmienia na oku można szybko się pozbyć w sposób następujący: „Wziąć ziarnko jęczmienia i przytknąwszy je do oka, mówić trzy razy: Zjedz jęczmień, jęczmień! Następnie ziarnko to

[85] Marian Udziela, dz. cyt., s. 82.

trzeba wrzucić do ognia i uciec, aby nie patrzeć jak się będzie paliło – a jęczmień na oku zginie”[86].

Nagniotki to jak wiadomo efekt noszenia modnego obuwia. Kto podczas wieczerzy wigilijnej trzyma stopy na kamieniu, ten od nagniotków będzie wolny. Nic jednak w przyrodzie nie ginie, więc przejdą na tego, kto pierwszy odejdzie od stołu. Wszelkie guzy łatwo przechodzą, gdy sękiem z trumny wykona się wokół guza kilka kółek. Gdy komu ręce się pocą, to należy „dotknąć go ręką nieboszczyka”[87] – skutek niezawodny.

Kto uczesze się w Wielki Piątek, ten wnet wyłysieje, a jeżeli gniazdo jaskółcze spadnie komuś na głowę, to w tym miejscu powstanie łysina. Włosy wypadają przypatrującemu się, jak dziewka powozi lub jedzie konno, żeby temu zapobiec, należy włosy przykryć dłońmi.

Do faktycznej przyczyny choroby wenerycznej lud się nigdy nie przyznaje. Zarzekają się, że jej początkiem było oddawanie moczu pod wiatr na łonie przyrody.

Dzwonienie w uchu oznacza, że ktoś o nas mówi, jeżeli dzwoni w prawym, to mówi dobrze, jeśli zaś w lewym to źle. Także, gdy kogoś czkawka dopadnie, to znak, że go obmawiają. Jedni uważają, że leczniczo działa przestraszenie człowieka dotkniętego czkawką, inni zaś mniemają, że skuteczniejsze jest wbić nóż w powałę tak jakby z zamiarem ugodzenia sprawcy czkawki. Przy ziewaniu lepiej usta przysłonić, żeby diabeł nie wleciał, albo ktoś nam trzykrotnie w usta nie napluł, bo Żydzi polscy chronili w ten sposób przed zauroczeniem ziewające dzieci.

Reumatyzm powstaje, gdy człowiek nadepnie bosą nogą na robaka, który „wierci w drzewie lub w ziemi”[88] – należy więc stąpać ostrożnie. Jeśli jednak kogoś dolegliwość ta dopadnie, to ponoć pomaga tarzanie się po ziemi, gdy usłyszy się grzmot pierwszej wiosennej burzy.

Niezawodną metodę zapobieżenia przykrym skutkom ugryzienia przez psa chorego na wściekliznę zawiera polsko-łaciński rękopis z XV w. Trzeba „wypisać na kawałku sera lub chleba, który ma zjeść człowiek ukąszony, następujące wyrazy: + *iran* + *liran* + *kyrian… teopharan* + *cakapharam* +*stolidon*, a ukąszenie nic mu nie zaszkodzi… przy pomocy Boskiej”[89].

Ukąszony przez żmiję winiec biec w pokrzywy. Jeżeli dotrze tam, nim żmija znajdzie się w wodzie, to przeżyje. Nie trzeba chyba wyjaśniać, co stanie się w przypadku odwrotnym. W przypadku ukąszenia nie zawadzi także wypowiedzieć czarowną maksymę: „*Sarp nutes Sirkiwajen – Nutes sarp Sirkiwajen – Sirkiwajen nutes sarp*”[90].

Głównym powodem kłopotów ze snem są zmory. Na szczęście liczne są środki do obrony przed zmorami. Można sobie nogi opasać różańcem albo położyć na piersiach coś ostrego, by zraniona zmora wzięła nogi za pas. Jeżeli zidentyfikowaliśmy tożsamość zmory, to należy wypowiedzieć jej imię, a wtedy nie wróci. Przystępu zmorze do śpiącego broni także

[86] Henryk Biegeleisen, dz. cyt., s. 144.
[87] Łukasz Gołębiowski, *Lud Polski, jego zwyczaje zabobony*, Warszawa 1830, s. 68.
[88] Marian Udziela, dz. cyt., s. 239.
[89] Henryk Biegeleisen, dz. cyt., s. 105.
[90] Marian Udziela, dz. cyt., s. 223.

postawiona w kącie izby miotła, tyle że odwrócona do góry końcem do zamiatania. Łatwo jest też zmylić zmorę, śpiąc z nogami na poduszce.

Aby ktoś odwzajemnił nasze miłosne uczucia, należy nosić „przez dziewięć dni kawałek cukru pod pachą, który się potem podaje ukochanej osobie w napoju albo jadle”[91].

Aby mróz zelżał, należy zebrać siedmiu łysych. Efekt jest znacznie bardziej spektakularny, gdy zbierzemy ich 39. Warto więc w poszukiwaniu łysych objechać całą okolicę.

Jeżeli ktoś zachoruje w dniu feralnym, to prędko nie wyzdrowieje, a może i umrze. Gdy kruk krąży nad głową człowieka, to wypada żegnać się z życiem. Przygotowania do przejścia do innego wymiaru niech rozpocznie ten, kto podsłuchał rozmowę zwierząt w wigilię Bożego Narodzenia. To samo dotyczy tego, kto zabije żabę – on też długo nie pożyje. Jak już wspomniano, każdy rodzi się pod jakąś gwiazdą, więc ta spadająca może oznaczać kres właśnie jego żywota. Widząc spadającą gwiazdę, dobrze jest zatem trzykrotnie powiedzieć: Nie moja! Nie moja! Nie moja!

BIBLIOGRAFIA

Badura Wincenty, *Wiejscy lekarze*, „Lud” 1903, T. 9, s. 296-297.

Baranowski Bohdan, *Pożegnanie z diabłem i czarownicą*, Łódź : Wydawnictwo Łódzkie, 1965.

Baranowski Bohdan, *W kręgu upiorów i wilkołaków*, Łódź : Wydawnictwo Łódzkie, 1981.

Barszczewski Waldemar, *Praca akuszerek w Królestwie Polskim w I połowie XIX w. Próba oceny historycznej, prawnej i socjologicznej*, „Studia Podlaskie” 2016, T. 24, s. 83-108.

Biegeleisen Henryk, *Lecznictwo ludu polskiego*, Kraków : Polska Akademia Umiejętności, 1929.

Compendium medicum auctum to iest: krotkie zebranie i opisanie chorob, Częstochowa : W drukarni Jasney Gory Częstochowskiey, 1789.

Firewicz Andrzej, *Sadowne i okolice wczoraj i dziś*, Warszawa 2004.

Gloger Zygmunt, *Zabobony i mniemania ludu nadnarwiańskiego*, Kraków 1877.

Gołębiowski Łukasz, *Lud Polski, jego zwyczaje zabobony*, Warszawa : W drukarni A. Gałęzowskiego i Spółki, 1830.

Jarosiński Adam, *Szkice z nadbużańskiego Podlasia*, Warszawa : Książnica Polska, 1925.

[91] Benjamin Wolf Segel, dz. cyt., s. 56.

Kolberg Oskar, *Dzieła wszystkie*, t. 24-28, 34, Warszawa : Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza – Polskie Wydawnictwa Muzyczne, 1964.

Marczewska Marzena, *Ja cię zamawiam, ja cię wypędzam… Choroba studium językowo-kulturowe*, Kielce : Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, 2012.

Rydygier Ludwik, *O dopuszczeniu kobiet do studiów lekarskich*, Kraków : Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1895.

Sadowska Jadwiga, *Mieszkańcy Kaczkowa Starego i Nowego w parafii Brok*, Warszawa 2016.

Segel Benjamin Wolf, *Wierzenia i lecznictwo ludowe Żydów*, „Lud" 1897, z. 3, s. 49-61.

Staszewski Dominik, *Moralność i umoralnienie Kurpiów*, Płock : w tłoczni K. Miecznikowskiego, 1903.

Udziela Marian, *Medycyna i przesądy lecznicze ludu polskiego*. *Przyczynek do etnografii polskiej*, Warszawa : Księgarnia Arcta, 1891.

Urbanek Bożena, *Lekarze a inne zawody medyczne na przełomie XIX i XX w*., „Medycyna Nowożytna" 2000, T. 7, z. 1, s. 77-85.

Wójcicki Kazimierz Władysław, *Zarysy domowe*, t. 3, Warszawa : Drukarnia Maksymiliana Chmielewskiego, 1842.

Z. St., *Z nad Buga. Szkic etnograficzny*, „Lud" 1897, z. 3, s. 7-45.

Zieleniewski Michał, *O przesądach ludu polskiego*, Kraków : Drukarnia Stanisława Cieszkowskiego, 1845.

ŹRÓDŁA ARCHIWALNE

Akta stanu cywilnego parafii rzymskokatolickiej w Broku 1826-1913, sygn. 79/86/0, Archiwum Państwowe w Warszawie Oddział w Pułtusku.

Akta stanu cywilnego Warszawa-Leszno, parafia Narodzenia NMP, Archiwum Państwowe w Warszawie,

Akta die Kurierung der Kranken im Amt Brok betreffend, jedn. 1065, zesp. 1/170/0, Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie.

ŹRÓDŁA INTERNETOWE

„Doktor" Marcinek, na portalu Hołubla – tam, gdzie jest nasz dom *holubla.pl*. [dostęp 15.04.2023 r.].

Geneteka. Genealogiczna kartoteka – baza urodzeń, małżeństw i zgonów, na portalu *geneteka.genealodzy.pl*. [dostęp 12.04.2023 r.].

Ostrów (Mazowiecka) w łomżyńskich dokumentach gubernialnych, (Źródło: *Pamiatnyje kniżki*, tłumaczenie: Ewa Kamińska, oprac.: Zespół), na portalu *wirtualna.lomza.pl*. [dostęp 13.04.2023 r.].

ŹRÓDŁA PRASOWE

„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr: 22 z 15 czerwca 1898; 58 z 19 października 1898; 74 z 14 grudnia 1898; 77 z 24 grudnia 1898; 18 z 4 marca 1899; 40 z 20 maja 1899; 10 z 3 lutego 1900; 42 z 26 maja 1900; 20 z 8 marca 1902; 26 z 29 marca 1902; 76 z 20 września 1902; 92 z 15 października 1902 r.

„Gazeta Handlowa”, nr 257 z 15 listopada 1873 r.

„Gazeta Świąteczna”, nr: 48 (152) z 1 niedzieli grudnia 1883; 22 (178) z 1 czerwca 1884; 47 (203) z 23 listopada 1884; 8 (372) z 19 lutego 1888; 36 (1440) z 6 września 1908; 45 (2388) z 7 listopada 1926 r.

„Kmiotek”, nr 4 z 26 stycznia 1861 r.

„Korespondent Płocki”, nr: 28 z 8 kwietnia 1887; 35 z 4 maja 1888 r.

„Kurier Polski”, nr 113 z 26 kwietnia 1927 r.

„Kurjer Warszawski”, nr: 31 z 31 stycznia 1911; 182 z 4 lipca 1911 r.

„Wspólna Praca”, nr 1 z 3 kwietnia 1910 r.

ILUSTRACJA WYRÓŻNIAJĄCA ARTYKUŁ

Ilustrację opisano na stronie 16.